

Wydawnictwo Miejskie

GAZETA
ŚREMSKA



“OKRĄGŁYM STOLE”

piętnaście lat później



ISSN 1231-7476 MIESIĘCZNIK NR 3/4 MARZEC/KWIECIEŃ ROK XIV

CENA 2,00 ZŁ

okładka: mariusz dziuba

„Dzisiaj wstał z grobu Zbawiciel
wszego świata Odkupiciel
więc niech będzie koniec złemu
i oddajmy hołd nasz Jemu.
Alleluja, alleluja”



Święta Zmartwychwstania Pańskiego były zawsze najcudowniejszym symbolem zwycięstwa dobra nad złem, prawdy nad kłamstwem, ducha nad materią.

Wszystkim mieszkańcom naszego miasta i ich gościom składamy najserdeczniejsze życzenia, wielu sił ciała i ducha, spełnienia pragnień i urzeczywistnienia zamierzeń.

Niech Zmartwychwstały Chrystus umocni nadzieję, obdarzy wszystkich szczęściem i dobrym zdrowiem.

Przewodniczący
Rady Miejskiej w Śremu
Maciej Janieszewski

Burmistrz Śremu
Krzysztof Łożyński

W numerze marcowo-kwietniowym:



Historia „Okrągłego Stołu” 12



WYZWOLENIE cz. II 16



**Wspomnienia wysiedlonej
śremianki cz. I 26**



**64. rocznica wysiedlenia do
Generalnego Gubernatorstwa .. 30**



**Mieczysław Perliński
(1904-1983) 18**



OSTATNI STAROPOLSKI ŚLUB 32

Wieści z ratusza



Program współpracy zagranicznej na 2004 rok

Dnia 23 lutego 2004r. podpisano program współpracy zagranicznej na 2004 rok pomiędzy miastami partnerskimi Śrem w Polsce i Bergen w Niemczech, Śrem w Polsce i Roznov pod Radhostem w Czechach jak również pomiędzy zaprzyjaźnionymi miastami Bergen i Roznov pod Radhostem.

W tym roku spotkanie otwierające współpracę zorganizowano w Śremie. Program podpisali władarze miast: **Burmistrz Bregen - Rainer Prokop**, **Starosta Roznova pod Radhostem - Vaclav Mikusek** oraz **Burmistrz Śremu - Krzysztof Łożyński**.



Lp.	Forma współpracy	Termin	Miejsce	Uczestnicy
1.	Podpisanie planu współpracy pomiędzy Śremem, Bergen, Roznovem p. Radhostem	22-25.02.2004	Śrem	Burmistrzowie wraz z delegacjami miasta
2.	Wystawa malarska Jerzego Jurgi	2.04.2004	Roznov pod Radhostem	Mieszkańcy Śremu i Roznova pod Radhostem
3.	Spotkanie komunalno-polityczne	26-29.04.2004	Bergen	Burmistrzowie miast Śremu, Roznova i Bergen wraz z delegacjami
4.	Dni Pokoju w Bergen	9-16.05.2004	Bergen	Uczniowie z Bergen, Hermannsburgu, Hendrik-Ido-Ambacht, Roznova, Śremu i Szubina
5.	Wymiana pomiędzy szkołami	Maj/czerwiec	Roznov pod Radhostem - Śrem	Uczniowie szkół z Roznova i Śremu
6.	Dni Śremu 2004	11-13.06.2004	Śrem	-turniej Orliki – po 1 drużynie z Czech i Bergen(dzieci w wieku 10-12 lat) -wizyta oficjalnej delegacji z Czech, Bergen i Holandii -zespół folklorystyczny z Roznova -Roznovska wystawa fotografii w Muzeum Śremskim -Wystawa Libusy Porubskiej z Roznova
7.	Święto Bractwa Kurkowego w Bergen	7-11.07.2004	Bergen	Oficjalna delegacja z Bergen, Śremu, Roznova i Hendrik –Ido-Ambacht. 5 małżeństw Bractwa Kurkowego ze Śremu
8.	Obóz młodzieżowy dla 45 dzieci ze Śremu	12-18.07.2004	Bergen	45 dzieci ze Śremu w wieku 12-16 lat z opiekunami
9.	Plener malarski	15-31.08.2004	Śrem	2 osoby z Roznova pod Radhostem
10.	Plener fotograficzny	Wrzesień 2004	Roznov pod Radhostem	2 osoby ze Śremu
11.	Praktyka w Roznovie dla pracowników Muzeum Śremskiego	2-7.08.2004	Roznov pod Radhostem	2 osoby z Muzeum Śremskiego
12.	Plener rzeźbiarski	2-15.08.2004	Roznov pod Radhostem	Rzeźbiarz ze Śremu
13.	Turniej piłki siatkowej	3-5.09.2004	Ottendorf-Okrilla	Po 3 drużyny 10 osobowe ze Śremu, Bergen, Roznova pod Radhostem, Hendrik-Ido-Ambacht
14.	Stała wymiana turystyczna mieszkańców Śremu, Roznova, Bergen	Cały rok	Śrem, Bergen, Roznov pod Radhostem	Mieszkańcy miast partnerskich. Miasto wspomaga w przygotowaniu programu pobytu. Koszt noclegu i utrzymanie pokrywa odwiedzający

**UCHWAŁA NR 157/XX/04
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 30 stycznia 2004 r.**



w sprawie uchwalenia budżetu gminy Śrem na 2004 rok

Na podstawie art. 18 ust. 2 pkt 4, 9 lit. d i lit. i, art. 58 ust. 1 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r., Nr 142, poz. 1591 z późn. zm.), art. 52, art. 116, art. 117, art. 118, art. 124, i art. 128 ustawy z dnia 26 listopada 1998 r. o finansach publicznych (Dz. U. z 2003 r., Nr 15, poz. 148 z późn. zm.) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

Uchwala się budżet gminy Śrem na 2004 rok w wysokości:

- | | |
|--|----------------|
| 1) dochody według załącznika nr 1 | 46.294.977 zł, |
| w tym: | |
| a) dotacje celowe na zadania zlecone z zakresu administracji rządowej oraz inne zadania zlecone ustawami | 1.869.431 zł, |
| b) dochody z tytułu wydawanych zezwoleń na sprzedaż napojów alkoholowych | 376.000 zł, |
| 2) wydatki według załącznika nr 2 | 50.120.010 zł, |
| w tym: | |
| a) wydatki na zadania zlecone z zakresu administracji rządowej oraz inne zadania zlecone ustawami | 1.869.431 zł, |
| b) wydatki na realizację "Gminnego Programu Profilaktyki i Rozwiązywania Problemów Alkoholowych" | 376.000 zł, |
| (zgodnie z załącznikiem nr 7) | |
| c) rezerwa budżetowa | 442.924 zł, |
| (zgodnie z załącznikiem nr 2) | |
| 3) deficyt budżetowy | 3.825.033 zł, |
| źródłem pokrycia deficytu będą pożyczki krajowe i kredyty (zgodnie z załącznikiem nr 3), | |
| 4) ustala się plan przychodów w kwocie | 8.459.878 zł |
| i rozchodów budżetu w kwocie | 4.634.845 zł |
| (zgodnie z załącznikiem nr 3). | |

§ 2

1. Ustala się plan przychodów i wydatków:

- 1) zakładów budżetowych zgodnie z załącznikiem nr 4,
- 2) środków specjalnych zgodnie z załącznikiem nr 4,
2. Ustala się zakres i kwoty dotacji przedmiotowych zgodnie z załącznikiem nr 4.

§ 3

Z budżetu gminy udziela się następujących dotacji:

- | | |
|--|---------------|
| 1) podmiotowych dla instytucji kultury w kwocie | 1.175.834 zł, |
| Śremski Ośrodek Kultury | 380.000 zł, |
| Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy | 532.000 zł, |
| Muzeum Śremskie | 263.834 zł, |
| 2) przedmiotowych dla zakładów budżetowych jak w załączniku nr 4, | |
| 3) podmiotowych dla: | |
| a) szkoły wyższej w kwocie | 260.000 zł, |
| b) Śremskiego Towarzystwa Budownictwa Społecznego w kwocie | 180.000 zł, |
| c) przedszkoli nie będących jednostkami organizacyjnymi gminy w kwocie | 875.000 zł, |

4) celowych na zadania zlecone do realizacji dla jednostek nie zaliczanych do sektora finansów publicznych i nie działających w celu osiągnięcia zysku:

- | | |
|--|-------------|
| a) w zakresie ochrony zdrowia | 79.000 zł, |
| b) w zakresie kultury fizycznej i sportu | 135.000 zł, |
| c) w zakresie kultury | 31.300 zł, |
| d) w zakresie ochrony przeciwpożarowej | 83.000 zł. |

§ 4

Wydatki majątkowe gminy wynoszą

6.440.015 zł, w tym:

1) na inwestycje

6.358.715 zł,

2) na zakupy inwestycyjne

81.300 zł,

zgodnie z załącznikiem nr 5,

3) Ustala się Wieloletni Program Inwestycyjny, zgodnie z załącznikiem nr 10.

§ 5

W budżecie tworzy się następujące rezerwy:

1) ogólną w kwocie

347.924 zł,

2) celową w kwocie

95.000 zł, na poręczenie udzielone ŚTBS.

§ 6

Ustala się plan przychodów i wydatków Gminnego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej zgodnie z załącznikiem nr 6.

§ 7

Plan dochodów i wydatków zadań zleconych z zakresu administracji rządowej oraz innych zleconych ustawami określa załącznik nr 8.

§ 8

Prognoza kwoty długu na lata 2004 - 2009 stanowi załącznik nr 9.

§ 9

1. Upoważnia się Burmistrza Śremu do dokonywania zmian w planie wydatków między rozdziałami i między paragrafami tego samego działu.

2. Ustala się maksymalną wysokość poręczeń w kwocie 95.000,00zł (słownie: dziewięćdziesiąt pięć tysięcy złotych) udzielanych przez Burmistrza Śremu.

3. Upoważnia się Burmistrza Śremu do zaciągania długu do kwoty 8.459.878 zł (słownie: osiem milionów czterysta pięćdziesiąt dziewięć tysięcy osiemset siedemdziesiąt osiem złotych) i spłaty zobowiązań gminy do kwoty 4.634.845 zł (słownie: cztery miliony sześćset trzydzieści cztery tysiące osiemset czterdzieści pięć złotych).

4. Upoważnia się Burmistrza Śremu do zaciągania krótkoterminowych kredytów i pożyczek na pokrycie występującego w ciągu roku niedoboru budżetu do wysokości 1.200.000 zł (słownie: jeden milion dwieście tysięcy złotych) oraz zabezpieczenia wyżej wymienionych kredytów i pożyczek w formie weksla "in blanco", którego pokryciem będą dochody z tytułu podatku od nieruchomości.

§ 10

Wykonanie uchwały powierza się Burmistrzowi Śremu.

§ 11

Uchwała podlega ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

§ 12

Uchwała wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 2004 roku.

PRZEWODNICZĄCY RADY
Maciej Janiszewski

UCHWAŁA NR 161/XX/04
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 30 stycznia 2004 r.

zmieniająca uchwałę w sprawie Statutu gminy Śrem

Na podstawie art. 169 ust. 4 ustawy z dnia 2 kwietnia 1997 r. - Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej (Dz. U. Nr 78, poz. 483) i art. 3 ust. 1 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591 z późn. zm.), Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

W uchwale Rady Miejskiej w Śremie Nr 84/IX/03 z dnia 25 kwietnia 2003 r. w sprawie Statutu gminy Śrem (Dz. Urz. Woj. Wielkopolskiego z 2003 r. Nr 103, poz. 1895; Nr 155, poz. 2931) w § 97 skreśla się ustęp 5.

§ 2

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od ogłoszenia w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

PRZEWODNICZĄCY RADY
Maciej Janiszewski

Chór „Moniuszko” w Warszawie

27 stycznia br. w Domu Rzemiosła w Warszawie odbyła się uroczystość wręczenia Nagrody Literackiej im. Wł. Reymonta. Została ona ustanowiona w 1994 roku dla upamiętnienia postaci Władysława Reymonta - rzemieślnika - pisarza - noblisty. Organizatorem nagrody jest Związek Rzemiosła Polskiego, który sponsoruje wybitną twórczość kulturalną. Nagroda przyznawana jest w dwóch kategoriach: "Za twórczość całego życia" i za "Książkę roku". Jury przyznaje też honorowe wyróżnienia za działalność artystyczną.

W połowie stycznia otrzymaliśmy zaproszenie na uroczystość wręczenia Honorowego Wyróżnienia dla chóru "Moniuszko", działającego pod patronatem Cechu Rzemiosł Różnych. Tak więc 27 stycznia pojechaliliśmy do Warszawy. Towarzyszył nam burmistrz Śremu - Krzysztof Łożyński. Uroczystość odbywała się w siedzibie Związku Rzemiosła Polskiego, mieszczącej się w dawnym pałacu Chodkiewiczów przy ul. Miodowej. Przybyłych gości powitał prezes ZRP - Jerzy Bartnik, który też zaprezentował laureatów nagrody. W kategorii "Za twórczość całego życia" otrzymał ją Witold Zalewski. Jest to pisarz pokolenia Kolumbów, żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego. Jest wybitnym powieściopisarzem o wielkim dorobku, jego utwory były często kanwą scenariuszy filmowych. Drugim laureatem nagrody głównej został Ryszard Kapuściński za książkę "Lapidarium V", którą uznano za książkę roku 2002. Ryszard Kapuściński nazywany jest żywą legendą polskiego reporta-

żu. Wielokrotnie nagradzany w kraju i zagranicą, jego książki drukowano w ponad trzydziestu językach.

Przyznano też nagrody specjalne, które otrzymał Jan Klimek - cukiernik z Katowic i Antoni Kiec z Cechu Rzemiosł Różnych z Namysłowic.

I wreszcie nadeszła chwila, na którą wszyscy czekaliśmy. Usłyszeliśmy słowa: Jury przyznało dwa Honorowe

Wyróżnienia, a otrzymali je Chór Rzemieślniczy "Moniuszko" ze Śremu i Cezary Sarzyński z Kazimierza n/Wisłą. Przewodniczący Jury - Jerzy Bartnik, tak nas zarekomendował: Chóry rzemieślnicze dzięki kontynuacji tradycji



śpiewaczej i patriotycznej wyśpiewały nam niepodległość, podtrzymywały ducha wolności i przywracały ludzką godność. Dziś nagradzamy taki właśnie chór, Rzemieślniczy Chór "Moniuszko", najstarszy i najlepszy zespół śpiewaczy w Wielkopolsce, który wkrótce obchodzić będzie 125 lat istnienia.

Jest z nami Starszy Cechu Rzemiosł Różnych w Śremie Antoni Odzimek, prezes Chóru Mieczysław Cichowski i dyrygent Jerzy Andrzejczak. Cieszymy się, że możemy gościć burmistrza Śremu dr. inż. Krzysztofa Łożyńskiego.

Wyrażam najwyższe uznanie dla osiągnięć chóru, gratuluje jego opiekunom cechowym i artystycznym przewodnikom. Dziękuję panu burmistrzowi za opiekę nad zespołem.

A potem nastąpił najprzyjemniejszy moment. Prezes chóru, dyrygent i Starszy Cechu odebrali z rąk prezesa ZRP Jerzego Bartnika Wyróżnienie Honorowe. Jest to grawerowana plakietka z podobizną Reymonta i napisem:

Jury Nagrody Literackiej im. Wł. St. Reymonta
 wyraża najwyższe uznanie
 dla

Rzemieślniczego Chóru "Moniuszko"

za

chlubne kontynuowanie tradycji śpiewaczej
 działalność artystyczną i popularyzatorską

Prezes ZRP

Jerzy Bartnik

W-wa 27 stycznia 2004

Następnie odczytano list od sekretarza stanu w kancelarii prezydenta, Barbary Labudy, która gratulując chórowi nadmienila, że: Jako najstarszy rodzinny chór mieszany posiadacie Państwo już swoje stałe miejsce w kulturalnym dorobku Rzeczypospolitej (...). Serdecznie gratuluję kontynuatorom wybitnego dzieła księdza Piotra Wawrzyniaka - dawnym i obecnym członkom Zespołu.

Pogratulował nam też burmistrz - Krzysztof Łożyński mówiąc: Państwa zaangażowanie w tworzenie lokalnej kultury muzycznej jest wartością nadzwyczajną i nieocenioną. A wielopokoleniowa już tradycja chóru świadczyć może o siole tradycji, która jest chlubą dla mieszkańców Śremu.

Burmistrz sprezentował nam fotografię chóru "Moniuszko" z 1905 roku, w którym śpiewała cioteczna babka żony burmistrza - Helena Śmigielska. Na zakończenie wystąpili laureaci, dziękując za nagrody i wyróżnienia. Oczywiście też podziękowaliśmy, dając 20-minutowy koncert. Zaśpiewaliśmy kilka kolęd i innych piosenek. Na końcu zaprezentowaliśmy "Piosenkę o Śremie", aby przypomnieć jeszcze raz warszawiakom z jakiego miasta przyjechał nasz wyróżniony chór. Pełni wrażeń wracaliśmy do domu.

Na drugi dzień, w Urzędzie Miasta odbyła się konferencja prasowa, na której prezes chóru M. Cichowski, sekretarz U. Ciesielska i dyrygent J. Andrzejczak dzielili się ze śremskimi mediami swą radością. Takie wyróżnienie zobowiązuje. Już niedługo będzie nas znów słyszał!

Urszula CIESIELSKA

foto - autorka



**WESOŁYCH
 ŚWIĄT
 ŻYCZY
 REDAKCJA**



Warto przypomnieć

Król satyry

Urodził się w Dubiecku nad Sanem w rodzinie posiadającej tytuł hrabiów Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Był spokrewniony z najświetniejszymi rodami Rzeczypospolitej. Dzieciństwo spędził otoczony miłością i mądrą opieką najbliższych. Starannie wykształcony, wraz z dwoma braćmi obrał stan duchowny.

Jako młody ksiądz spędził dwa lata na studiach w Rzymie. Po powrocie zostaje sekretarzem prymasa i zaprzyjaźnia się z młodym Poniatowskim - przyszłym królem. Od panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego rozpoczyna się wspaniała kariera duchowna **Ignacego Krasickiego**. Kapelan królewski otrzymał rychło biskupstwo warmińskie, tytuł księcia, godność senatora Rzeczypospolitej. Pod koniec życia zostanie arcybiskupem gnieźnieńskim.



Biskupstwo warmińskie dawało mu wysokie miejsce w hierarchii społecznej oraz uzasadnione poczucie niezależności. Jednak nie okazało się ono cichą przystanią. Kapituła przyjęła swego zwierzchnika chłodno w obawie przed zmianami. Równocześnie nasilały się prowokacje i napór Prus zmierzających do zagarnięcia Warmii w ramach rozbiu Pol-

ski. Krasicki protestował publicznie przeciw obcej interwencji. Chciał też uchronić Warmię przed wojną domową. Po utracie niezawisłości nie złożył Fryderykowi II osobiście homagium. Wśród jego podróży obok wyjazdu do Paryża w czasie konfederacji barskiej, częstymi stawały się wyjazdy do Berlina, Poczdamu, Sans-Souci na wezwanie Fryderyka II. Wraz z całą diecezją warmińską był po I rozbiore poddany pruski. Stwarzało to sytuację trudną dla poety - biskupa, który zaprzyjaźniony z królem Polski był zmuszony do towarzyskich i administracyjnych kontaktów z królem Prus.

Swą twórczością Krasicki oświecał panowanie Stanisława Augusta, jednak nie promował bezpośrednio programu politycznego króla.

Wybitny reprezentant polskiego klasycyzmu zadebiutował strofą - hymnem *Święta miłości kochanej ojczyzny*. Miał wówczas około czterdziestu lat. Był to więc późny debiut, który przyniósł przecież niezwykle sukces tej strofy, stanowiącej fragment pieśni IX poematu heroikomicznego *Myszeida*. Strofa ta przez długie lata będzie pełniła rolę hymnu narodowego. Krasicki sformułował tu uniwersalną ideę patriotyzmu

wyrażoną stylem wysokim i wzniosłym tonem. Wśród licznych przekładów tekstu wymienimy także 3 różne przekłady francuskie.

Książę Biskup Warmiński (X.B.W.) nadawał doskonały kształt wszystkim gatunkom europejskiego klasycyzmu. Otwierał także droge gatunkom nowym. Wśród nich wyróżnia się pierwsza polska powieść nowożytna **Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki**. Jest ona syntezą wszystkich odmian powieści oświeceniowych - a więc satyryczno-obyczajowej, przygodowej i robinsonady połączonej z utopią i powieścią dydaktyczną. Bohater powieści Mikołaj Doświadczyński to przeciętny polski szlachcic, który w toku wielorakich przeżyć w Warszawie, Paryżu, na wyspie Nipu konstruuje swą osobowość i racjonalizuje swoje doświadczenia. W rezultacie wypracuje dojrzałą mądrość, stanie się dobrym człowiekiem, przykładnym obywatelem. Ten wzór mądrego gospodarza (fizjokratyzm) wypełni także karty następnej powieści **Pan Podstoli**.

Anegdota mówi, iż zachętą do powstania poematu **Monachomachia** stała się rozmowa z Fryderykiem II pruskim w pałacu Sans-Souci. Krasicki mieszkał tu w apartamencie niegdyś Woltera. W żartobliwym heroicum o zwaśnionych zakonnikach realizuje X.B.W. oświeceniową konwencję gatunku. Edycja tekstu stała się nieomal skandalem obyczajowym.

Najtrwalszym pomnikiem literackim Oświecenia są **Bajki**. Osadzone w europejskiej tradycji gatunku są niedoścignione w swym artystycznym pięknie. Aktualną obserwację nad światem i naturą człowieka zawarł poeta także w **Satyrach**. Klasyk poezji zintelektualizowanej był artystą słowa wydobywającym poetyckość z obszarów najrzadziej poszukiwanych.

Uprawiał nie tylko literaturę piękną. Pisał prace z zakresu homiletyki, teologii, heraldyki; ogłosił dwutomową encyklopedię, pisał Listy o ogrodach, artykuły do "Monitora" i własnej gazety "Co Tydzień". Podejmował prace przekładowe z Plutarcha, tłumaczył Pieśń Ojsjana.

Król wyraził swe uznanie najwyższymi odznaczeniami - Orderem Orła Białego, Św. Stanisława i medalem honorowym z dewizą "Dignum laude virum musa vetat mori".

Ważniejsze dzieła Krasickiego zyskały europejską sławę; zostały przetłumaczone na wiele języków europejskich - łaciński, francuski, niemiecki, włoski, rosyjski, czeski, chorwacki, słoweński, węgierski. Szeroka recepcja jego dzieł utrzymywała się przez cały wiek XIX.

W okresie żmudnych przygotowań do Wielkiego Sejmu, w latach 1778-1784, pojawia się cykl wspaniałych satyr, piętnujących największe przywary ówczesnego społeczeństwa polskiego. Inną formą walki o naprawę moralną społeczeństwa były dwa zbiory bajek. Pierwszy, wydany w 1779 roku, mógł jeszcze wpłynąć na postępowanie decydentów przed utratą niepodległości. Drugi był światelkiem w dobie zaborów.

Już po III rozbiorze Polski został mianowany arcybiskupem gnieźnieńskim. Wolną Polskę przeżył zaledwie o 6 lat. Zmarł w Berlinie, podczas jednej z wizyt na dworze Fryderyka.

Opracował

Adam LEWANDOWSKI

Wykorzystano obszerne fragmenty tekstu
prof. dr hab. Ireny Kadulskiej oraz fragmenty książki Z. Golinskiego, *Ignacy Krasicki*.
Warszawa 1979.
Foto: archiwum

Kulawy i ślepy
Niósł ślepy kulawego, dobrze im się działo;
Ale że to ślepemu nieznosne się zdało,
Iż musiał zawsze słuchać, co kulawy prawi,
Wziął kij w rękę: "Ten - rzecze - z szwanku nos wybawi".
Idą; a wtem kulawy krzyknie: "Umknij w lewo!"
Ślepy wprost i, choć z kijem, uderzył łbem w drzewo.
Idą dalej; kulawy przestrzega od wody -
Ślepy w bród: sakwy zmaczał, nie wyszli bez szkody*
Na koniec, przestrzeżony, gdy nie mijał dołu,
I ślepy, i kulawy zginęli pospołu.
I ten winien, co kijem bezpieczeństwo mierzyl,
J ten, co bezpieczeństwa głupiemu powierzył.

„OPOWIEŚCI ŚREMSKICH SZTANDARÓW”

Godło, barwy państwowe i hymn to najważniejsze symbole narodowe zajmujące szczególne miejsce w dziejach i tradycji narodu polskiego. Do nich można zaliczyć również sztandary. Termin ten służy w historii myśli do ogromnie zwięzłego, lapidarnego ujmowania faktów społecznych. Do takich faktów o szczególnym znaczeniu należy posiadanie przez nas ojczyzny, istnienie polskiego narodu i państwa, którego jesteśmy obywatelami. Wymienione symbole wyrażają zarazem naszą opinię o tych faktach, kojarzą się z pewnymi obrazami, wywołują określone wzruszenia. Odwołują się w tym przypadku do uczuć patriotycznych i obywatelskich, umacniają je, wiążą nas z ziemią ojczystą, z jej pięknem, krajobrazem geograficznym i kulturowym z walorami ogółu jej obywateli, w godzinie dobrej i złej. Pobudzają do działania w imię wspólnej sprawy. Wraz z innymi pamiątkami przeszłości symbole narodowe wyrażają naszą historię od ponad tysiąca lat.

Sztandar towarzyszył wszystkim ważniejszym wydarzeniom w dziejach naszego państwa. Był zawsze symbolem jedności. Sztandar, nazywany pierwotnie chorągwią, wywodzi swój rodowód z dawnych znaków bojowych, które stanowiły ośrodki skupiające wojowników podczas bi-

twy, dla orientacji własnych oddziałów. W obozach Słowian przed namiotem wodza zatykano "stanice", jako oznakę jego starszeństwa. Od 1295 roku, tj. od chwili koronacji Przemysława II na króla Polski, chorągiew królewska towarzyszyła wszystkim ważniejszym wydarzeniom poli-

tycznym. Z opisów Jana Długosza wiemy, że w historycznej bitwie pod Grunwaldem rycerstwu polskiemu towarzyszyło pięćdziesiąt chorągwi. Chorągwiom i sztandarom, zgodnie z dawniejszą tradycją wojskową, oddawano cześć i honory, uroczyste je poświęcano, składano na nie przysięgę. W okresie zaborów barwy narodowe zostały całkowicie zabronione. W kraju i poza jego granicami, z pokolenia na pokolenie przenoszona była miłość i wierność do symboli narodowych.

Biel i czerwień kojarzyły się zawsze, nawet poecie, ze świętością najwyższych wartości ducha i ofiarą krwi. Z perspektywy dziejów naszych barw narodowych jakże głębokiego znaczenia nabierają słowa poświęcone im przez poetkę Marię Jasnorzewską-Pawlikowską:

"Biało-krwawy,
krwawo-biały, Iniany
opatrunku, który zwiesz się sztandar,
coś się z wielkim krwotokiem uporał.
Wiatr rozwija ten dokument ranny,
Tę Pamiątkę
Ten Dług
I ten Moral."

Sztandary oddziałów partyzanckich zajmują odrębne miejsce w dziejach polskich symboli wojskowych. Wykonywane konspiracyjnie, pod groźbą śmierci, więzienia i tortur miały znaczenie szczególne, były wyzwaniem rzuconym wrogowi. Wzruszającą pamiątkę lat okupacji stanowią także sztandary drużyn harcerskich. Poetycki wyraz największego uwielbienia dla obrońców sztandaru dała Maria Konopnicka we wzruszającym wierszu "Po bitwie", w którym zawarła list oślepego Kostki Chomentowskiego do gen. Józefa Zajączka po utracie jedyne go syna poległego śmiercią bohatera:

"...Piszesz, że syn mój
w pierś z kuli wziął ranę
I poległ, sztandar wznosząc
ku niebu...
O moje dziecko najmilsze,
kochane,
Także pięknego doczekał
pogrzebu."





Bohaterska postawa związana z gotowością poświęcenia życia w obronie sztandaru w naszej tradycji nie była tylko dziełem desperackich jednostek. Historia nasza zna wiele przypadków, gdy w obronie barw narodowych, sztandarów, śmierć poniosły jednocześnie dziesiątki bezimiennych bohaterów.

Tak jak przed wiekami, symbole narodowe i sztandary nadal stanowią wartość bezcenną. Po tragicznych latach II wojny światowej zrozumiała jest głęboka treść pieśni Polaków spod znaku Rodła:

"Przeminęły już wieki, a myśmy ostali,
Burzom dziejów nie daliśmy się zgnieść.
Sztandar walki, co w ręce ojcowie nam dali,
To nasz honor i wiara i cześć."

Reprezentują powagę Rzeczypospolitej, mają dla każdego Polaka również wymowę najgłębszych uczuć osobistych.

Przypomnienie chlubnych tradycji sztandarów, jako znaków jednoczących Polaków, jest konieczne. W tych tradycjach odnajdujemy dzisiaj te same wartości, jakie wiązały z nimi przeszłe pokolenia. Nasze zainteresowania losami śremskich sztandarów, tymi historycznymi i tymi współczesnymi, wypływa z nakazów serca i racji rozumu. Emocje i wyobrażenia, które śremskie sztandary budzą i umacniają, winny przyczynić się do jednoczenia każdego z nas w dniu święta i zwykłym dniu pracy, z naszą Ojczyzną. Żeby móc wywiązać się z tego zadania musimy poznać losy śremskich sztandarów, przybliżyć wiedzę o nich.

Zwracamy się więc z wielką prośbą, do wszystkich, którzy podejmą trud literackiego uwiecznienia historii sztandarów o wzięcie udziału w konkursie "Opowieści śremskich sztandarów"

Organizatorzy

Towarzystwo Miłośników Śremu

PREZES T.M.Ś.

Marian Dominiczak



REGULAMIN KONKURSU

„OPOWIEŚCI ŚREMSKICH SZTANDARÓW”

1. Organizator

Organizatorem konkursu jest Towarzystwo Miłośników Śremu

2. Medialny patronat nad konkursem objęli:

- Redakcja "Tygodnika Śremskiego"

- telewizja osiedłowa RELAX

3. Uczestnicy

Konkurs przeznaczony jest dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych, osób prywatnych, organizacji i instytucji posiadających sztandar.

4. Tematyka

Konkurs polega na napisaniu opowiadania, zawierającego historię sztandaru (istniejącego lub już nie istniejącego), a związane z ziemią śremską. Organizatorom szczególnie zależy na spisaniu losów sztandarów mających kilkudziesięcioletnią historię.

W opowiadaniu należy uwzględnić, np.:

- genezę powstania sztandaru,
- kogo sztandar reprezentuje (reprezentował),
- fundatora i datę wręczenia,
- nazwiska autorów,
- jak wygląda (wyglądał),
- gdzie jest lub był przechowywany,
- kiedy i w jakich okolicznościach był lub jest prezentowany,
- gdzie się znajduje obecnie lub w jakich okolicznościach zaginął.

5. Zgłoszenie

Adresy: - Szkoła Podstawowa nr 4 im. M. Konopnickiej w Śremie
ul. Grota-Roweckiego 10, tel. 28 350 70 (p. W. Grobelna)

- Telewizja RELAX

Termin oddania prac konkursowych upływa z dniem 20 marca 2004 r.

6. Informacji udziela: p. M. Dominiczak, tel. 28 35 616
p. W. Henkel, tel. 28 36 105

7. Organizatorzy zapewniają atrakcyjne nagrody i zapraszają do wzięcia udziału w ww. konkursie.

Foto: Przemysław Jahns
Przekazanie sztandaru Szkoły Podstawowej nr 5 im. A. Fiedlera Muzeum Śremskiemu

Historia „Okrągłego Stołu”

6 lutego 2004 roku mija 15 rocznica rozpoczęcia obrad „Okrągłego Stołu”. Starsze pokolenie Polaków ma swoją osobistą ocenę tamtych wydarzeń. Młode pokolenie nie wie na ten temat nic lub bardzo niewiele, tyle ile wyczytać może z lakonicznych informacji podręczników szkolnych. Ukazały się co prawda liczne publikacje czy nawet opracowania książkowe na temat „Okrągłego Stołu”, te są jednak analizowane głównie przez historyków.

Chciałbym zatem przypomnieć, zwłaszcza przedstawicielom młodego pokolenia fakty, które legły u podstaw tego historycznego wydarzenia.

By przedstawić historię obrad „Okrągłego Stołu” trzeba cofnąć się do sytuacji społeczno-politycznej z początku lat osiemdziesiątych. Polacy byli zmęczeni. Z jednej strony, beznadzieją polityczną związaną z wprowadzeniem stanu wojennego (13 grudnia 1981 r.), z drugiej - ogromnym trudem codziennego życia. Doktryna gospodarki sterowanej centralnie, rozdzielczo-nakazowo, zepchnęła kraj w głęboki kryzys ekonomiczny. Podstawowe artykuły żywnościowe (m.in.: cukier, masło,

mięso) i niektóre przemysłowe (np. buty), a także paliwa samochodowe, były racjonowane i dostępne na kartki. Powszechne trudności potęgowały apatię, a brak perspektyw sensownej pracy skłaniał młodych ludzi do myślenia o emigracji. Wielki społeczny zryw roku 1980 wydawał się stracony.

Polityczna rzeczywistość pozostawała bez miejsca na alternatywne propozycje. Pomimo zniesienia stanu wojennego w 1983 roku, liderzy opozycji nadal siedzieli w więzieniach. Działacze „Solidarności” wciąż podkreślali, że długofalowym celem związku jest budowa niepodległego, demokratycznego państwa z wolnorynkową gospodarką. W latach 1984-85 cele te jednak były zupełnie hasłowe. W tym czasie napięcie konfrontacyjne znacznie osłabło. Wymiar konkretny i coraz bardziej realny miało natomiast żądanie uwolnienia więzionych działaczy. Wypuszczenie więźniów politycznych było podstawowym warunkiem przywrócenia normalności. Na normalizację nalegali przedstawiciele kościoła, a także zagraniczni wierzyciele Polski, do których ówczesne władze zmuszone były odnosić się z coraz większym re-



spektem. Amnestic więźniów politycznych ogłoszono we wrześniu 1986 roku. Na wolność wyszli członkowie "Solidarności".

W połowie roku 1988 raz jeszcze okazało się, że rząd komunistyczny nie ma odpowiedniej koncepcji dalszego sprawowania władzy, zarówno w sferze gospodarki, a przede wszystkim w sprawach społeczno-politycznych. Nie dało się dłużej mówić, że Lech Wałęsa jest osobą wyłącznie prywatną. Społeczeństwo przestało też już reagować na "złowieszcze" informacje, że Kuroń i Michnik chcą siłą obalić w PRL ustrój socjalistyczny.

Wobec powszechnego marazmu postanowiono, że władze zasiadają wraz z opozycją przy jednym stole i porozmawiają o przyszłości jak Polak z Polakiem.

Był koniec 1988 roku, przygotowywano się do obrad "Okrągłego Stołu". Wtedy jeszcze nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że rozmowy naprawdę odbędą się przy okrągłym stole. Kiedy 21 października 1988 roku podano informację, że w Fabryce Mebli Artystycznych w Henrykowie powstaje specjalny stół, szefowie agencji CAF potraktowali to jako dobry żart. A jednak to była prawda. Niewiele osób pamięta, że składał się z 14 segmentów i miał średnicę 8,8 metra.

Ten bodaj najslawniejszy polski stół stał się tym "Okrągłym Stołem" - 6 lutego 1989 roku o godzinie 14:23, gdy w świetle jupiterów i obecności dziennikarzy z kraju i zagranicy rozpoczęły się obrady w Pałacu Radziwiłłowskim przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

Obrady poprzedziła cała seria poufnych debat w willi w podwarszawskiej Magdalence. Tam doszło do wstępnego porozumienia między reformatorami z PZPR i skłonnyimi do kompromisu działaczami "Solidarności". Przy symbolicznym okrągłym stole zasiadło 57 uczestników obrad, reprezentujących strony: rządowo-koalicyjną, opozycyjną - solidarnościową i przedstawicieli wyznań, zasiadło tylko dwa razy, rozpoczynając rozmowy i kończąc je podpisaniem dokumentów 5 kwietnia 1989 roku.

Przez ponad dwa miesiące toczyły się negocjacje w mniejszych grupach. Powołano zespoły tematyczne: gospodarki i polityki społecznej, reform politycznych oraz pluralizmu związkowego. O szczegóły ustaleń spierano się w zespołach nazywanych podstolikami i w grupach roboczych. Łącznie w całych obradach brało udział według moich wyliczeń 445 osób.

Celem rozmów było wypracowanie zasad demokratyzacji ustroju politycznego oraz naprawa systemu gospodarczego Polski. W trakcie negocjacji nakreślono przy Okrągłym Stole - 252 zadania z dziedziny społecz-

no-gospodarczej oraz 285 zadań wynikających z reformy politycznej. Najważniejsze z nich - polityczne - sprowadzały się do legalizacji "Solidarności", utworzenia drugiej izby parlamentu, czyli Senatu oraz urzędu Prezydenta Państwa, którego miało wybrać Zgromadzenie Narodowe zdominowane - jak zaplanowano przez stronę rządową. Postanowiono, że wybory do sejmu będą wolne w 35% (taką pulę mandatów maksymalnie mogła zdobyć opozycja), a do Senatu - całkowicie wolne. Ponadto strona solidarnościowa zgodziła się na "urynkowanie" gospodarki żywnościowej, co oznaczało ogromne podwyżki cen artykułów spożywczych, zyskawszy w zamian zapewnienie, że nastąpi "ochrona" w postaci indeksacji płac.

W rezultacie doszło do wyborów parlamentarnych 4 czerwca 1989 roku, zapoczątkowania reform rynkowych, przejścia rządu przez dawną opozycję, stopniowego demontażu systemu komunistycznego i wprowadzenia instytucji demokratycznych.

Ten polityczny kontrakt wzbudza do dziś wiele emocji. Spór w tej kwestii zapewne potrwa jeszcze długo. Nie zmienia to jednak faktu, że "Okrągły Stół" był niezwykle doniosłym wydarzeniem w najnowszej historii Polski, a także Europy, gdyż w praktyce stał się impulsem do demontażu komunizmu w środkowo-wschodniej części naszego kontynentu. Będą się o tym uczyć następne pokolenia. Spróbuję tak postawioną tezę uzasadnić.

Dziś po piętnastu latach od tamtych jakże dramatycznych dni, jak już wspominałem każdy z dorosłych Polaków ma swoje wyrobione zdanie i moja wypowiedź nie zmieni tej oceny. Upływający czas i spadek emocji z tym wydarzeniem związany powoduje, że wielu z nas potrafi już docenić jego efekt nie tylko polityczny, ale przede wszystkim zmian w gospodarce kraju. Jest co prawda po dzień dzisiejszy nasza gospodarka "targana" we wszystkie strony przez prawie wszystkie grupy społeczne, ale jest to cena transformacji jaką zapłacić musi społeczeństwo z tych europejskich krajów, które chcą trwałych zmian systemowych. Jestem przekonany, że mogliśmy w tym 15 - letnim okresie transformacji zrobić więcej, gdyby nie ciągłe zmiany rządu, a co zatem idzie zmian kierunków reform.

Chodzi o to, by wszyscy mieszkańcy naszego kraju w równym stopniu ponosili koszty transformacji ustrojowej, a tak niestety nie jest za sprawą elit rządzących.

15 lat temu wypowiadałem w środkach masowego przekazu zdania, które wypowiadałem dziś i będę wypowiadał w przyszłości: "jeżeli Okrągły Stół uchronił przed utratą życia lub zdrowia choć "jedno istnienie ludzkie",

to już warto było ponieść trud jego zorganizowania. Jestem przekonany, że ustrzegł Polskę przed groźbą konfliktu wewnętrznego, a nawet wojny domowej. Myślę że dziś, kiedy mamy tyle do zrobienia w kraju, nie warto licytować się na fakty, czy na wschodniej granicy państwa stały dywizje radzieckie gotowe do interwencji zbrojnej, czy nie. Znamy historię Węgrów i Czechów, a w ostatnich latach Rumunów, narodów byłej Jugosławii, wiemy jak one się skończyły, ile pochłonęły ofiar.

Powinniśmy docenić fakt, że udało nam się pójść z przemianami ustrojowymi niekonfrontacyjną drogą - unikając wspomnianych wyżej doświadczeń.

Jest to kolejny dowód na to, że w chwili zagrożenia Polacy potrafią się sami dogadać ponad podziałami politycznymi i społecznymi, jakie w naszym społeczeństwie widać wyraźnie.

Polski "Okrągły Stół" stał się wzorcem postępowania dla naszych sąsiadów, a nie boję się użyć określenia dla Europy. Nikt z nas uczestników obrad "Okrągłego Stołu" nie przypisywał sobie patentu na mądrość i nieomyłność. Spisano kontrakt polityczno-społeczny akceptowany przez wszystkie strony uczestniczące w rozmowach. Nasi zagraniczni sąsiedzi mogli wybrać inne drogi rozwiązania swoich problemów, jednak na wzór polskiego "Okrągłego Stołu" zwoływali swoje obrady okrągłostolowe.

Tego wydarzenia, którego efektów nie chcę przeceniać, nie należy się wstydić, skoro nikt w Europie nie wymyślił nic lepszego. Jest też "Okrągły Stół" swoistym wzorem kultury politycznej, przekazania władzy rządzących w ręce dotychczasowej opozycji, bez sięgania do konfrontacji siłowej.

Dzięki obradom "Okrągłego Stołu" rozumiemy coraz lepiej takie pojęcia jak: pluralizm, demokracja, consensus, gospodarka rynkowa czy giełda papierów wartościowych. I choć dla wielu grup społecznych warunki pracy i życia są nadal bardzo trudne, związane z ogromnymi wyrzeczeniami, to myślę, że właśnie dlatego, że trzeba "tak wiele dla tak wielu", nie powinniśmy jako naród zniweczyć szansy jaką dał nam "Okrągły Stół". W wielu państwach świata znacznie lepiej rozwiniętych niż Polska, budowano demokrację przez całe pokolenia. Polska przechodził ekspresowy kurs demokratyzacji życia, stąd tyle zawirowań i niepewności zwłaszcza słabszych grup naszego społeczeństwa. Po dzień dzisiejszy w trudnych momentach negocjacji rządzących z rządzonymi powołujemy się na konieczność rozmów przy okrągłym stole. Zatem okrągły stół wpisał się na stałe w krajobraz polskiej rzeczywistości.

Dla mnie młodego wówczas człowieka, miałem 35 lat i należałem do jednych z najmłodszych uczestników, wielomiesięczne przygotowania a potem ponad dwumiesięczny udział w obradach były prawdziwą szkołą życia i ogromną próbą charakteru. Nigdy nie byłem i również dziś nie uważam siebie za polityka, choć każdy z nas nim po trosze jest. Podkreślam więc, że znalazłem się wśród uczestników "Okrągłego Stołu" jako działacz związkowy. Stało się to za sprawą decyzji Rady Krajowej Federacji ZZPR i Komitetu Wykonawczego OPZZ, które w dniu 6 września 1988 roku udzieliły mi pełnomocnictwa do reprezentowania związków zawodowych. Nawet dziś po 15 latach bardzo dobrze pamiętam klimat tamtych dni, "ciśnienie" jakie na każdym uczestniku obrad rosło z godziny na godzinę i te ogromne nadzieje wypisane na twarzach ludzi, licznie zgromadzonych wzdłuż całej trasy prowadzącej do obecnego Pałacu Prezydenckiego przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

Pamiętam jak dziś, uderzył mnie widok skromnie ubranej kobiety, stojącej pod parasolem w okolicy bramy wjazdowej do Pałacu Radziwiłłowskiego, trzymającej na ręce małe dziecko - płakała. Zadałem sobie w głębi duszy pytanie "chłopcze, czy ty jesteś w stanie swoim uczestnictwem w obradach, udźwignąć ten ciężar odpowiedzialności względem zatroskanych tym, co się w kraju dzieje ludzi, odpowiedzialności za ich los, za los swoich dzieci?".

Potem dramatyczne chwile na otwarciu obrad "Okrągłego Stołu", wielogodzinna przerwa w obradach, pierwsze zagrożenie dla kontynuacji obrad - a przecież chodziło tylko o względy proceduralne. Ogromne napięcie, szliśmy do tego "stołu" tak długo (kilka miesięcy odraczano obrady właśnie ze względów proceduralnych - składu personalnego uczestników), debata jeszcze się na dobre nie rozpoczęła, a już zagrożona została zerwaniem rozmów. Dzięki gorączkowym zabiegom współprzewodniczących obrad, usiedliśmy ponownie do stołu wznowiając obrady, opadło ciśnienie, a w kraj poszła wiadomość "gadają dalej".

Potem wielogodzinne codzienne rozmowy w zespołach i podzespołach roboczych trwające dwa miesiące z krótkimi przerwami sobotnio-niedzielnymi. Na początku atmosfera obrad była bardzo "szttywna", każda ze stron zgrupowana była w swoim zespole. Ale mijały dni, "lody zaczęły puszczać", zaczęliśmy się lepiej poznawać. Te długie godziny spędzone razem w salach pałacu zaczynają nas do siebie zbliżać. Coraz mniej i to z dnia na dzień "agresji" w wypowiedziach. W przerwach zaczy-

namy odzywać się do siebie jak znajomi. Potem siadamy razem przy wspólnym stole na posiłkach. Potrafimy wspólnie żartować. Osiągamy choć trudne, ale ważne porozumienia, zapisujemy strony protokołów uzgodnień. Po wszystkich widać już wyraźnie zmęczenie. Przychodzi wreszcie ten najważniejszy dzień, 5 kwietnia 1989 roku, kończący obrady. Strony parafują porozumienia. Powstaje ogromny pakiet zadań do systematycznej realizacji. Otwieramy szansę na inną Polskę, Polskę z Solidarnością u władzy.

Polska roku 2004 jest inna, ale na pewno nie na miarę oczekiwań każdego Polaka. Mamy za sobą ogromne przeobrażenia gospodarcze, społeczne i polityczne. Należymy do struktur NATO, oczekujemy na integrację z Unią Europejską.

Uczestnictwo w obradach "Okrągłego Stołu" wywarło na moją psychikę, a nawet postawę życiową ogromny wpływ. Nauczyło mnie szacunku dla człowieka myślącego i mówiącego inaczej niż ja. Dziś lepiej rozumiem ludzi, potrafię szybko nawiązać z nimi kontakt, nawet jeżeli reprezentują swoimi wypowiedziami inny pogląd od mojego. Nauczyłem się tolerancji wobec tych ludzi. Poznałem wielu wybitnych dla naszej kultury ludzi, również ze strony ówczesnej opozycji, co pozwoliło mi po-

zytywnie zweryfikować szereg moich poglądów na życie.

Wielka szkoda, że przedstawiciele władz lokalnych bez względu na opcje polityczne w całym 15-letnim okresie transformacji ustrojowej nie uznały w sposób należyty i obiektywny osiągnięć obrad "Okrągłego Stołu".

Jako dowód takiego postępowania niech świadczy fakt, iż w ostatnio wydanych "Dziejach Śremu" o tym wydarzeniu, najważniejszym w całych dziesięcioleciach okresu powojennego napisano parę lakonicznych zdań. Jakby w historii Polski nic znaczącego się nie wydarzyło. Brak jakiegokolwiek wzmianki, że tę historię III Rzeczypospolitej tworzył również rodowity Śremianin, jedyny reprezentant Wielkopolski w obradach plenarnych "Okrągłego Stołu". Jak widać, demokracji musimy uczyć się wszyscy.

Jest to moja osobista refleksja i ocena obrad "Okrągłego Stołu". Historykom i mijającemu czasowi pozostawiam rzetelną ocenę tego wydarzenia, które 6 lutego 2004 roku obchodzi swoje 15-lecie.

Tadeusz RĄCZKIEWICZ
Uczestnik obrad "Okrągłego Stołu"
Foto: archiwum



WYZWOLENIE cz. II

Przeżyłem wyzwolenie Śremu spod okupacji hitlerowskiej

Już coraz mniej marnuje się dzisiaj chleba. W piekarniach widziałem napełnione nimi kosze, a na nich kartki z napisem "Wczorajsz", więc po obniżonej cenie. Kupują go ci z wielodzietnych rodzin lub amatorzy czerstwego chleba. Często rowerem przejeżdżam obok nowootwartej placówki św. Brata Alberta. To m.in. tutaj składowany jest chleb z poprzednich dni. Na każdorazową dostawę z piekarni tego podstawowego pożywienia oczekują ludzie pozostający bez środków do życia. Nie wszyscy bowiem z ponad 250 bezrobotnych w naszym mieście ma "utrzymanie" przy rodzinie, która dostaje stałą emeryturę lub rentę.

Coraz częściej mieszkańcy bloków wywieszają torebki z niezjedzonym chlebem na kontenerach na śmieci. Biorą go ci, którzy dzięki temu łatwiej utrzymać domowe zwierzęta. Smutne jest to, że zabierają te niezjedzone, często suche kromki i skibki chleba, o z mroku. Istnieje poczucie biedy, z którą nie każdy chce się "obnosić". Pustawiano zbiorniki na plastikowe i szklane opakowania, na odzież używaną i makulaturę. Rajcy miasta nie mają jednak pomysłu na zbieranie suchego chleba. Na surowcach wtórnych można zarobić. Na starym chlebie nie potrzeba. Wystarczy zadbać o ptaki, zwłaszcza późną jesienią i zimą. Nieporozumieniem jest zanoszenie do Boga: "Chleba naszego, powszedniego, daj nam dzisiaj", gdy z zimna i głodu zamarzają np. kaczkę i łabędzie, które w nadziei na przetrwanie obierają sobie siedlisko nad jeziorami lub Wartą.

Kto nie był głodnym, głodnego nie zrozumie. Moje życie przypadło na przełom wieków. Okres ten obfitował w niezapomniane wydarzenia. Życie w niewoli nie dostarczało wrażeń z kręgu dostatku i sytości. Powiedzenie "Polak potrafi" źródło ma w życiu w podległości całych pokoleń Polaków przez 123 lata pod zaborami, później w czasie II wojny światowej. Mielśmy wtedy po kilkanaście lat. Aby przeżyć okupację, bez przerwy myśleć musieliśmy o tym, jak zdobyć pożywienie. Kartkowe przydziały chleba, margaryny i marmolady nie wystarczyły, aby napełnić głodne żołądki. Niemcy przesiedlali nas na coraz gorsze mieszkania w dzielnicy, którą nazywano wtedy "Glinki". Przedostatnie mieszkanie mieściło się w budynku przy spalonej cegielni, obok Wójtostwa. Stamtąd już niedaleko było do pól, które zagarnął Hartman. Ów Niemiec jeździł dwukołową bryką. Stojąc na dokarcie w jednej ręce lejce trzymał, w drugiej myśliwską flintę załadowaną nabojami z solą. Wśród wypatrzonych czasem na "zbieronce" była siostra

Urszula i brat Stanisław, którzy ze mną albo zbierali kłosa, albo "szczeblikowali" ziemniaki, brukiew i buraki cukrowe. Często musieliśmy drapać się po tylnej części ciała, do której przez "portki" wciskała się sól z broni "właściciela" zagarniętej polskiej ziemi. To była cena jaką płaciliśmy za uzbierane okrychy i odpady żywności. Wieczorami nasz dom zamieniał się w prawdziwą manufakturę. Do młodych należało oczywiście oczyszczanie wysuszonych przez mamę kłosów zboża. Brało się do rąk kilka kłosów i przez ich pocieranie wyłuskiwało się ziarno, które oczyszczane było dmuchaniem w wypełnione tym "polnym złotem" dłonie. Część uzyskanego w ten sposób surowca mama zalewała zagotowaną wodą. Ojciec wybierał chochlą zmiekczone ziarno i przepuszczał je przez maszynkę do mięsa. Matka, Władysława, tę kleistą maź łączyła ze zgniecionymi ziemniakami i owo ciasto przesypywała otrębami. Uformowane chlebki w foremkach wędrowały do piekarnika. Nie znajduję słów, które oddałyby atmosferę oczekiwania na upieczony chleb. W mieszkaniu unosił się, dzisiaj zupełnie niespotykany, zapach, w ustach gromadziły się nadmierne ilości śliny. Bardzo smakował ten przez wszystkich wyrobiony pokarm.

Kartkowe głodowe racje chleba wykupywano w sklepie przy piekarni, której właścicielem przed wojną był p. Sobczak. Jednego razu, gdy szedłem z ul. Mickiewicza na Gostyńską, ułamałem kawałek wielkości mojego dziennego przydziału. Byłem głodny. Nie myśląc o tym, co będzie dalej, zaspokoilem głód. Miałem wtedy chyba 7 lat i byłem głodny. W domu odebrałem łanie i odbyło się szkolenie: "Dogodziłeś sobie, teraz o twoją porcję mniej będzie do podziału, w którym ty też przecież uczestniczyć będziesz".

Druga część ziarna podlegała dalszemu suszeniu. Później, po kolei, każdy z nas miał je w młynku do kawy. Ręce bolały, puchły, pojawiły się na nich bąble, ale... mieliśmy kaszę i trochę mąki na "zakleпки" do zup, które zasadniczy smak brały z gotowanych wsadów bądź to z dyni, bądź brukwi czy marchwi lub kapusty. Nie przypominam sobie, aby w czasie okupacji mamie udało się ugotować obiad dwudaniowy. Nie było z czego. Podstawą żywienia były "reputy". Czy potrafisz sobie wyobrazić, młody czytelniku, smak takowej z dyni lub brukwi? A czy jadłeś suchy chleb zaciągnięty słodem uzyskanym z długo gotowanych kawałków buraków cukrowych? Ja jadłem i to pamiętam. Stąd do dzisiaj, choć mam już 70 lat, nic co jest żywnością, nie

marnuje się. Kupuje się, kroi, gotuje tyle, ile zjeść mogą domownicy. Nic nie ma prawa się zmarnować.

Śrem wyzwolony został, jak wiadomo, 23 stycznia 1945 r. Uciekający do "siebie" Niemcy nie byli w stanie wywieźć bydła. Krowy trzeba, jak wiadomo, systematycznie doić. Wyzwoleni Polacy nadmiar tego życiodajnego płynu zwozić zaczęli bez żadnego nakazu, jedynym wówczas sposobem, zaprzęgami konnymi, do mleczarni przy ul. Mickiewicza. Ojciec, Walenty, pochodzący z gospodarstwa, dobrze o tym wiedział i polecił zabrać stosowne naczynie, aby kupić mleka. Zabrałem wręczone mi marki i pomaszzerowałem zrównując swój chód z wózkami, które ciągnęły psy. Ten niecodzienny widok sprawił, że wcale nie nudziło mi się, bacznie obserwowałem to, co dzieje się na jezdni.

Niespodziewanie nadleciały myśliwce niemieckie. Piloci musieli dostrzec Rosjan, ale również dojrzeć oznakowania wiezionych rannych. Samoloty zatoczyły koło coraz zniżając lot. Przeszkadzały im kominy mleczarni, "Malta" i "Malinowskiego", ale i tak z broni pokładowej seriami zaczęli ostrzeliwać bezbronnych ludzi. Na skrzydłach samolotów dostrzegłem charakterystyczne czarne krzyże. Gdy meserszmity robiły rozpoznanie, położyłem się pod murkiem parkanu, który oddzielał posesję policji od jezdni. Pomyślałem: jeżeli i mnie mają trafić, to bez znaczenia pozostaje, w którą stronę będę miał obrócić głowę w tej "obronnej pozycji". Postanowiłem leżąc patrzeć na to, co się dzieje na ulicy. Sanitariuszki taboru nie zatrzymały i nie zboczyły z jezdni. Ci ranni, którzy mieli trochę sił, unosili w górę, opierali o ramiona ręczne karabiny maszynowe... i

strzelali do zbrodniczo zachowujących się wrogich maszyn. Po kilku okrążeniach Niemcy skierowali je na zachód. (Poznań wyzwolony został dopiero w lutym 1945, lotnisko pod Poznaniem pozostawało długo w rękach faszystów). Opisana scena rozegrała się na moich oczach. Nigdy potem ani nie widziałem w filmach, ani nie spotkałem w literaturze wojennej opisów takiego sposobu przewożenia rannych i przenoszenia za linię frontu wojskowego szpitala. Zatem miałem szczęście i to podwójne. Udało mi się ujrzeć ciekawą scenę teatru wojny, ale nade wszystko drugi raz uratować życie. Miałem wtedy 12 lat. Długo, bardzo długo nie mogłem zrozumieć rannych, leżących na wózkach żołnierzy, którzy strzelali z ręcznej broni do samolotów. Teraz wiem, że dzieje się to na zasadzie: jeżeli ja nie będę strzelał, oni to zrobią i mnie zabiją; strzelając, od-ruchowo bronię własnego istnienia.

Owego dnia mleko do domu przyniosłem. Ocalała emaliowana bańka, która upadła na chodnik, gdy kładłem się na niego pod parkanem przy ul. Mickiewicza. Bliskim opowiedziałem o zdarzeniu. Na początku relacji nie dawało wiary przekazanym faktom, które złożyły się na niecodzienne moje przeżycie.

"Głodnych nakarmić, spragnionych napoić". Tak. Ważne jest "być", a nie "mieć". Ile radości, dobrego samopoczucia z tego, że wielu z nas potrafi się z potrzebującymi podzielić.

Sens wartości, o których wyżej poznałem bo... przeżyłem m.in. II wojnę światową.

Henryk Jankowiak



Kartka z okresu okupacji
hitlerowskiej (zbioru Muzeum
Śremskiego)

Mieczysław Perliński (1904-1983)



1

Urodził się 04.07.1904 roku w Kaliszu. Pochodził z rodziny inteligentkiej. Był najstarszy z pięciorga rodzeństwa. Początkowe nauki pobierał w domu. W dniu 01.04.1913 r. zmarł jego ojciec Wacław. Po pogrzebie ojca już nie wrócił do domu, lecz udał się do Tłokinii, wychowywał go stryjek-proboszcz tamtejszej parafii - ks. Władysław Perliński. W wolnych

chwilach uczył się sam. Dnia 19.02.1959 r. stracił matkę Zofię, a swoją prababcie, która będąc panną została wybrana przez księżnę Radziwiłłową na guwernantkę i nauczycielkę języka polskiego dla książąt. Prababcia znała 8 języków obcych. Wyjechała do Towian na Litwę. Zapisał do nauki towarzyszył mu od samego początku. Maturę zdał w Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Liskowie Kaliskim w 1925 roku. Ukończył: Państwowy Wyższy Kurs Nauczycielski w Poznaniu w 1933 roku, Instytut Pedagogiczny ZNP w Warszawie w 1947 roku, Uniwersytet Poznański - Wydział Filozoficzno-Historyczny w 1952 r. i uzyskał tytuł magistra filozofii, pod kierunkiem prof. Władysława Tatarkiewicza.

Od 01.09.1925 roku był nauczycielem Szkoły Powszechnej w Stawiszynie. W 1935 roku we wrześniu pełnił funkcję kierownika Szkoły Powszechnej w Zbiersku. Od 16.03.1946 r. był podinspektorem szkolnym w Śremie, a od 05.12.1954 r. do 31.08.1967 roku inspektorem szkolnym w Śremie.

Od 01.09.67 r. do 31.08.72 r. był emerytowanym inspektorem szkolnym i nauczycielem Szkoły Podstawowej nr 2 w Śremie.

Jak pisałam w poprzednim numerze Gazety Śremskiej o babci, przypominę, że dziadek ożenił się z Izabelą Żywiecką w 1926 roku. Powołany do czynnej służby wojskowej dn.13.07.1927 roku do 60 pp Piechoty w Ostrowie Wlkp., a w kilka dni potem odkomenderowany do Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty Nr 7 w Śremie. W dniu 13.04.1928 r. kończy Szkołę Podchorążych w stopniu plut.-pchor. z 5 lokatą, po pierwszych ćwiczeniach rezerwy w 1930 r. mianowany podporucznikiem rezerwy. (W tym samym czasie rodzi się syn Przemysław) Z dniem 01.01.1931 roku zostaje przeniesiony do 29 Pułku Strzelców Koniowskich w Kaliszu.

W dniu 01.09.1939 roku dziadek został mianowany komendantem transportu rodzin oficerów zawodowych i wyjeżdża z transportem do Kielc, miejsca postoju Ośrodka 25 Dywizji Piechoty. 02.09.1939 r. transport umieścił na plebani w miejscowości Suków, a sam melduje się u dowódcy 4 Pułku Legionów Polskich, by o godz. 1.30 znaleźć się na linii obronnej. Na szczęście nieprzyjacielskie czołgi przeszły obok.



2

O godz. 11.00 przybyły władze 25 DP, które ppor. Perlińskiego mianowały dowódcą kompanii oficerów nadkontygentowych. Kompanię zakwaterowano w miejscowości Mojca (3 km od Kielc). W godzinach wieczornych w dniu 03.09.1939 r. schwytano skoczka (podoficer niemiecki przebrany za zakonniką) i odstawiono do Kielc. Rozpoczął się marsz w

kierunku pld.-wsch. Samoloty niemieckie kilkakrotnie atakowały bez znaczących strat. 16.09.39 r. mianowany dowódcą Taborów 25 DP. 17.09.1939 r. ranny w głowę dostał się do niewoli, z której udało mu się zbiec.

Okupant wyrzucił całą rodzinę na koniec wsi Zbiersk. W roku 1939-40 r. ukrywał się w Łodzi i Zgierzu (u rodziny babci Izi, a swojej żony), prowadząc tajne nauczanie w zakresie szkoły powszechnej, a także i średniej, wśród dzieci krewnych

i zaufanych rodziny. Po powrocie do Zbierska i ponownym ukrywaniu się rozpoczął pracę w dniu 20.08.1940 r. w "Amtsbezirk" jako siła pomocnicza. Wykrał kilkadziesiąt opieczętowanych blankietów dokumentów osobistych, by wydać fałszywe dowody osobiste zbiegłym jeńcom wojennym, uciekinierom z obozów, przymusowych prac. Zajmował się kolportowaniem oraz przepisywaniem tajnych gazetek, podtrzymujących ducha w narodzie. Prowadził tajne nauczanie w Zbiersku i Stawiszynie, gdzie ostatnio pracował. Już w Wigilię Bożego Narodzenia 1944 roku odbyło się u niego konstytucyjne zebranie Ludowego Komitetu Obywatelskiego. Zorganizował potajemnie 7 posterunków MO w gminie Zbiersk oraz MO w Stawiszynie. Ucieczka żandarmerii z posterunków Zbiersk i Stawiszyn w nocy w dniu 20.01.1945 roku i pozostawienie przez nią broni i amunicji umożliwiło zabezpieczenie przed grabieżą składu zboża w Stawiszynie oraz cukrowni, kolejki, tartaku i młyna w Zbiersku. Wszystko było przygotowane, a uruchomienie gminy, szkoły i innych zakładów i instytucji było kwestią kilkunastu godzin.

W marcu 1945 roku dziadek otrzymał powołanie do 2 Armii LWP pod dowództwo gen. Karola Świerczewskiego na stanowisko st. adiutanta batalionu.

Po zwycięskich walkach z najedźcą zwolniony do rezerwy z dniem 10.10.1945 r.

Jak przebiegała jego praca społeczno-polityczna?

- Od 01.09.25 r. był członkiem ZNP (przewodniczącym Konferencji Rejonowej, prezesem Ogniska Stawiszyn-Zbiersk, Członkiem Powiatowej Sekcji Emerytów przy Powiatowej Radzie Związku Nauczycielstwa Polskiego w Śremie)

- Od 01.02.45 r. był członkiem PZPR - przewodniczącym Komisji Oświaty przy KP PZPR, kierownikiem szkolenia I i II stopnia przy KP PZPR, wykładowcą na kursach szkoleniowych, sekretarzem POP przy Wydziale Oświaty oraz członkiem egzekutywy POP przy Prezydium PRN w Śremie.

- Dziadek był organizatorem i prezesem Zarządu TWP w Śremie od chwili jego powstania do dnia 16.05.1972 roku. Był pierwszym i długoletnim prezesem Zarządu Powiatowego TPD w Śremie, później członkiem Zarządu Powiatowego TPD. Również był organizatorem i przewodniczącym Zarzą-

du Powiatowego Wszechnicy Radiowej przez cały okres jej trwania. Był współorganizatorem i członkiem Poznańskiego Towarzystwa Pedagogicznego przy UAM w Poznaniu. Nie jestem w stanie wymienić tych wszystkich organizacji, bo jest ich wiele. Ale należy wspomnieć, że był pierwszym przewodniczącym Komisji Rewizyjnej Centralnego Koła Absolwentów

Instytutów Pedagogicznych ZNP w Warszawie, był członkiem Sądu Konkursowego Odczytów Pedagogicznych przy Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego, był także wykładowcą na dziesięciu kursach dla kierowników zespołów samokształcenia i czytelnictwa województwa poznańskiego i zielonogórskiego (obecnie lubuskiego) zorganizowanych przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego w latach 1947/48. W czasie tych tygodniowych kursów prowadził zajęcia z techniki pracy umysłowej (Jak słuchać wykładu? Jak prowadzić notatki? Jak czytać książki beletrystyczne i popularnonaukowe? Jak studiować dzieło? Jak prowadzić dyskusję?) Dziadek mój należał również do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Jako inspektor szkolny ds. oświaty i kultury pokrył powiat śremski siecią kursów dla analfabetów i półanalfabetów oraz organizował zespoły dobrego czytania i samokształcenia. Przy Komendzie Powiatowej MO w Śremie (obecnie Policji w Śremie) zorganizował kurs dla tych funkcjonariuszy, którzy nie mieli ukończonej 7 klasy szkoły podstawowej. Jako kierownik tego kursu prowadził zajęcia z j. polskiego i historii. Przeszkolił 400 nauczycieli (kierowników) reprezentujących wszystkie powiaty woj. poznańskiego i woj. (obecnie) lubuskiego.

- Przyczynił się do budowy 8 szkół w powiecie: Szkoła Podstawowa nr 1 w Śremie, Szkoła Zawodowa, Szkoła w Manieczkach, Szkoła w Bodzyniewie, Szkoła w Pecinie, Szkoła w Pyszącej, Szkoła w Nochowie (początek budowy), Szkoła w Konarzycach. Mojemu dziadkowi najbardziej zależało na sprawie dotyczącej zdobywania dyplomu nauczycielskiego przez nauczycieli

niekwalifikowanych. Organizował spotkania, w czasie których prowadził zajęcia, interesując się ich postępiami w nauce oraz uczestniczył w egzaminach końcowych. Czynnym nauczycieli zachęcał do dalszych studiów (SN, mgr). Efekt tych wysiłków był imponujący: powiat śremski uzyskał w tym zakresie I miejsce w skali wojewódzkiej.



Po ukończeniu Centralnego Kursu Partyjnego w Warszawie (2 tyg.) był kierownikiem szkolenia I i II stopnia przy KP KPPR, przygotowując kadry wykładowców na zajęciach POP.

Dziadek miał znakomitych profesorów, m.in. prof. Bogdan Suchodolski był jego profesorem podczas studiów w Instytucie Pedagogicznym w Warszawie w 1946/47. Z kolei Wincenty Okoń 23.08.56 r. zaproponował mu współpracę z Działem Dydaktyki, którym kierował w Warszawie przy ul. Górczewskiej 8, i dziadek ją przyjął.

Ponadto redakcja miesięcznika społeczno-pedagogicznego "Nowa Szkoła" wyraziła podziękowanie za wspaniałe przemówienie na Krajowym Zjeździe Inspektorów Szkolnych, drukując jego skrót i zachęciła dziadka do dalszej współpracy. ("Nowa Szkoła" Nr 7/8 1961)

Za swoją pracę dziadek mój otrzymywał mnóstwo listów gratulacyjnych. Czytałam również ten od Heliodora Muszyńskiego (P-ń 05.09.72 r.). To był jego ostatni list do dziadka.

Tak jak i moja babcia dziadek otrzymał za swój trud dydaktyczny oraz ofiarną pracę na rzecz PRL liczne odznaczenia państwowe:

- * Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski
- * Srebrny Krzyż Zasługi
- * Medal Zwycięstwa i Wolności
- * Medal X-lecia PRL
- * Medal XXX-lecia
- * Złota Odznaka Grunwaldzka
- * Odznaka Tysiąclecia Państwa Polskiego
- * Honorowa Odznaka "Za zasługi w rozwoju województwa poznańskiego"
- * Honorowa Odznaka miasta Śrem
- * Złota Odznaka TPPR
- * Srebrna Odznaka Odbudowy Warszawy
- * Medal Pamiątkowy za zasługi dla powiatu śremskiego
- i wiele innych (jest ich po prostu za dużo, żeby wymienić wszystkie)

Dnia 14.10.1977 r. w Belwederze z okazji Dnia Nauczyciela odbyła się uroczystość wręczenia zasłużonemu pedagogowi tytułów "Zasłużony Nauczyciel PRL".

Mój dziadek właśnie otrzymał ten tytuł. Przewodniczącą (wówczas Rady Państwa Henryk Jabłoński dekorował dziadka. Cóż to była za radość. Nasza rodzina (zabrakło babci, też by się cieszyła) siedziała przed telewizorem i oglądała tę uroczystość. Miałam wówczas 17 lat. Chodziłam dumna, że mam takiego dziadka.

Dziadek należał do takich nauczycieli, którzy nie wykazywali znużenia pracą zawodową. Był świadomy różnych antywartości i antykompetencji zakłócających edukację. Umiał rozróżnić dobro od zła, prawdę od fałszu. Był mądry. A mądrość to podstawowa kompetencja nauczycielska. Jak zauważył św. Augustyn w traktacie "O życiu szczęśliwym", "najbardziej szkodliwą antykompetencją jest głupota. Nie ma mę-

dzy nimi żadnego stanu pośredniego. Jeżeli żyje każdy człowiek, który nie umarł, nie ulega wątpliwości, że mądry jest każdy człowiek, który nie jest głupi"...

Dziadek miał w sobie wolność i pokój serca, czyli tę równowagę będącą źródłem wszelkich kompetencji nauczycielskich. Tylko w ten sposób mógł zbliżyć się do Piękna, które zawiera Prawdę i Dobro. Tak jak Plotyn pisał w "Eneadach":

"...I jeżeli zobaczysz, że nie jesteś jeszcze piękny, to tak, jak rzeźbiarz posagu który ma być piękny, jedno usuwa, a inne oskrobie, jedno wygładzi, a inne oczyści, aż objawi piękne oblicze na posagu, tak ty usuwaj wszystko, co zbędne, prostuj co opaczne, czyść i rób, by zaśnialo, co ciemne, i nie ustawaj w pracy nad własnym posagiem..."

Mój kochany dziadek zawsze mi wpajał, że edukacja to rozpoznawanie, rozumienie, akceptowanie i respektowanie wartości, które są we wnętrzu każdego człowieka. Jeśli tam je człowiek odkryje, to dostrzeże je także u innych ludzi, w społeczeństwie, w kulturze i naturze. Nie każdy może poszczycić się takim autorytetem, życzliwością, osiągnięciami w pracy zawodowej. Z pewnością gdyby można cofnąć czas, (ale czas jest nieubłagany) wiele jeszcze bym się od niego nauczyła. W sposób szczególny piszę o moim dziadku, ponieważ był on dla mnie, tak jak babcia, kimś wyjątkowym kimś, na kim można polegać. Pozostawił po sobie część czegoś, czego się nigdy nie zapomni. Dużo mi opowiadał o sobie, wiele pamiętam z dzieciństwa. Przecież również uczestniczyłam w lekcjach, które prowadził. Wykształcił wspaniałych pedagogów i organizatorów, m.in.: kol. I. Kondras, L. Mańkowskiego i wielu innych nauczycieli. Miał spore grono oddanych mu kolegów i koleżanek. Wracam myślami do czasów, kiedy pokazywał mi jak oprawiać książki - znał się na sztuce introligatorskiej, uczył mnie jak pisać wypracowania, jak szybko czytać, jak sporządzać notatki. Pamiętam, jakby to było wczoraj, jego słowa: "Dobrze Małgosiu, że pracujesz w przedszkolu, ale lepiej będzie jak będziesz pracować w szkole". I tak też się stało.

Niestety nie doczekał tej chwili, bo odszedł na zawsze, ale w pamięci pozostanie. Zmarł 18.02.1983 roku, pochowany na cmentarzu parafialnym przy kościele farnym w Śremie.

Opracowała na podstawie archiwum domowego i wcześniejszych rozmów z Mieczysławem Perlińskim oraz sporządzonych przez niego notatek

Małgorzata PERLIŃSKA-BARANIAK

Foto: archiwum

1. Mieczysław Perliński
2. Szkoła Podchorążych Rezerwy Piechoty Nr 7 w Śremie. Piąty od lewej - Mieczysław Perliński, 18.01.1928 r.
3. W drodze na wizytację szkoły (1957 r.)
4. Z żoną Izbabelą przy ul. Poznańskiej 24

Z inicjatywy Towarzystwa Rzemieślniczo-Przemysłowego w Śremie w dniach 15-17 sierpnia 1924 roku zorganizowano w Śremie **WYSTAWĘ PRZEMYSŁOWĄ DLA RZEMIOSŁA, PRZEMYSŁU I HANDLU.**

"Celem wystawy było zapoznanie się z poziomem miejscowego przemysłu i handlu oraz wykazanie prężnego rozwoju w okręgu."

We wrześniu br. Muzeum Śremskie planuje otwarcie okazjonalnej wystawy w salach wystawowych muzeum. Natomiast wspólnie ze Śremskim Ośrodkiem Wspierania Małej Przedsiębiorczości, który w tym roku obchodzi jubileusz 10-lecia zorganizujemy prezentację współcześnie działających zakładów, firm, rzemiosła i handlu.

Zwracamy się do czytelników z prośbą o udostępnienie na czas trwania wystawy fotografii prospektów reklamowych, wyrobów firmowych, wyposażenia sklepów itd. z okresu dwudziestolecia międzywojennego.

W sprawie wypożyczenia eksponatów prosimy o kontakt z kuratorem wystawy Barbarą Jahns, Muzeum Śremskie, ul. Mickiewicza 89, tel. 28 35 938; e-mail: muzeum@nx.pl



Sklep rzeźniczy Państwa Szubertów

„NIEZAPOMINAJKI”

czyli urywki z życia wzięte cz. XIII

Śnieg już całkiem stopniał, a leszczynowe bazie odkryły swoje "kotki". Zakwitły pierwsze kwiaty w ogrodach. Nawet kosy powychodziły ze swych gniazd w poszukiwaniu pożywienia.

Nadchodzi wiosna - czas odradzania się przyrody, czas nadziei, okres kwitnienia niezapominajek... Jest wiele gatunków tych kwiatów i wszystkie wyglądają bardzo podobnie. Różnią się rodzajem włosków na działkach kielicha. Niezapominajka polna - to roślina roczna, rzadziej wieloletnia, pokryta odstającymi włoskami. Łodyga wzniesiona, rozgałęziona z gestymi lancetowatymi liśćmi. Kwiaty z pięcioma niebieskimi płatkami z żółtym pierścieniem pośrodku. Dzwonkowaty kielich pokryty jest sztywnymi włoskami w kształcie haczyków. Niezapominajki nie mają specjalnych wymagań. Rosną wszędzie: w miejscach wilgotnych, na łąkach, brzegach wód, w rowach, źródłach, polach, przydrożach, wzgórzach. Od lat wrosły w polski krajobraz.

Mnie kojarzą się ze wspomnieniami z dzieciństwa, kiedy zrywałam polne kwiatki bawiąc się bez troski na łące nad rzeką.

Odłam nauczyłam się pisać, zaczęłam prowadzić pamiętnik. Mając 16 lat odkryłam, że ktoś czyta te moje zapiski i część z nich zniszczył. Później nie pisałam regularnie. Dopiero po urodzeniu Przemka, będąc na urlopie wychowawczym zapisywałam ciekawe wspomnienia - na ogół wesołe urywki z życia wzięte - i składałam je w teczkę do szuflady.

Pewnego razu, podczas zebrania lekarskiego zobaczyłam książkę prof. Jerzego Woya-Wojciechowskiego pt. "Opowieści lekarza, czyli ZOO-z". Po jej przeczytaniu (oczywiście co kawałek pękając ze śmiechu) doszłam do wniosku, że mam podobne poczucie humoru co autor. W maju 2002 r. podczas ogólnopolskiego plenum PTL, które odbywało się w "Gajówce" w Zbrudzeniu koło Śremu, miałam okazję porozmawiać z profesorem o naszych pozazawodowych pasjach. Bardzo się ucieszył i chciał przeczytać moje teksty. Dlatego skierowałam swe

kroki do Muzeum i tak zaczęła się moja przygoda z "Gazetą Śremską". Poznałam wielu wspaniałych ludzi - artystów, historyków, podróżników i innych autorów piszących do "Gazety".

Obecnie wraz z kilkoma kolegami z PTL przygotowujemy okolicznościowe wydanie materiałów wspomnieniowych o lekarzach pracujących w Śremie. Okazję stanowi 40-lecie Śremskiego Koła PTL, które przypada w maju tego roku. Niewiele czasu nam już zostało, ale mam nadzieję, że ze zgromadzonych wspomnień powstanie bardzo ładna książka, która z pewnością znajdzie poczesne miejsce w każdym domu rdzennych Śremlan. Sama też napisałam kilka słów o moim tacie. Był znanym i lubianym w Śremie lekarzem. Mam tego dowody nawet dziś, kiedy idę do moich pacjentów na Oddziale Pielęgnacyjno-Opiekuńczym od razu mnie rozpoznają (mimo miazdżycy), mówiąc że jestem taka jak ojciec. Innym razem, kiedy się przedstawiam, zostaję zasypana pytaniami o rodziców. Gdy odpowiadam twierdząc: "Tak, to ja jestem córką lekarza - Przemka Perlińskiego" - od razu chorzy czują się jak w domu - swojsko, bezpiecznie. Myślę, że ma to pozytywny wpływ na wyniki leczenia.

Jednak zdarza się spotkać osoby, które mnie jeszcze nie znają. Niedawno weszłam do apteki na Helenkach. Ucieszyłam się na widok mojej koleżanki Geni K., która zabawnie podskakiwała przy okienku: "Byłam pierwsza, byłam pierwsza". To á propos obsługi lekarzy poza kolejnością. "No dobrze, kup już te swoje lekarstwa" - odparłam. Teraz moja kolej. Podałam wypisane przeze mnie recepty i słyszę, że jest tylko jedno opakowanie leku. "Dobrze, proszę mi wydać to jedno opakowanie. Tylko proszę zaznaczyć to na recepcie" - godzę się skwapliwie. Na co młoda farmaceutka: "Ale będzie pani musiała poprosić panią doktor o przepisanie tego drugiego opakowania". Spojrzałam na Genię - ledwo mogła wytrzymać ze śmiechu. Rozpaczliwie da-

wała znaki aptekarce, że ta doktor - to ja. Na co ja spokojnie odrzekłam: "E, nie - sama sobie wypiszę". dziewczyna speszyła się: "Bardzo przepraszam, ale ja nie znałam pani doktor". Uspokoiłam ją: "nic nie szkodzi, przecież na czole nie mam napisane. Zwykle się przedstawiam w nowych placówkach, ale tu pani jest nowa". Ze śmiechem na ustach i ku ucieście pacjentów, którzy zdążyli się zgromadzić w aptece ruszyliśmy z Genią do wyjścia. "No wiesz, jak mogłaś tak zawstydzić dziewczynę" - strofowała mnie żartobliwie koleżanka.

Innym razem byłam po zakupy w pobliskim "Samie" z moją siostrzenicą Paulinką. Nie zabrałam żadnej siatki. Nabraliśmy do koszyka różnych drobiazgów - całe mnóstwo. Przy ladzie młoda ekspedientka grzecznie pyta: "Dać reklamówkę?". Robiąc niewinną minę odparłam rozglądając się w poszukiwaniu siatki - "E, nie - chyba wezmę w zęby"... Klienci ryknęli śmiechem, a młoda dziewczyna spiekła raka. Oczywiście zaraz wyjrzała kierowniczką sklepu. "No dalej, daj pani siateczkę!" - powiedziała. Szybko spakowałam zakupy i wyszłam ze sklepu. Paulina wyszła wcześniej, bo już nie mogła wytrzymać ze śmiechu. Jednocześnie stwierdziła, że nie będzie już ze mną chodzić po zakupy, bo zachowuję się strasznie.

Nic na to nie poradzę, że lubię sobie pożartować. Kiedyś chodząc po sklepach w poszukiwaniu zimowego płaszcza pozwoliłam sobie na żarcik. Otóż tak się wzruszyłam widząc ogromny płaszczyk, że wzięłam go do przymiarki. Sięgał mi prawie do kostek i rękawy były za długie. Była wtedy ze mną mama. "No, jak wyglądam?" - zapytałam licząc na reakcję mamy. Ekspedientka natychmiast podbiegła tłumacząc mi, że świetnie wyglądam. "Tu się trochę skróci, tam rękawki podwinie i będzie jak ulał". Oburzyłam się strasznie: "Chyba pani żartuje! Mam kupić palto do przeróbki?". Mama zakręciła tylko kółeczko w wiadomym miejscu i od razu

wyszliśmy ze sklepu. "Zachowujesz się zupełnie jak ojciec! Taki wstyd!" - skwitowała tylko.

Któregoś roku w szpitalu uroczystie obchodziliśmy "Dzień Chorego". Były odwiedziny biskupa w Oddziale Pielęgnacyjno-Opiekuńczym. Wcześniej jakoś ta informacja do mnie nie dotarła. Widząc zamieszanie na korytarzu poszłam sprawdzić, co się dzieje. Wpadłam prosto na delegację. Nie tracąc animuszu powiedziałam: "Niech mi wolno będzie powitać Jego Ekszelencję w naszych skromnych

przeglądach". Biskup zapytał: "A pani kim jest?" Na te słowa przedstawiłam się - Jestem lekarzem nadzorującym ten Oddział - Perlińska-Siuda. Potem podaliśmy sobie ręce (co zostało uwiecznione na fotografii) i miło gawędząc razem przeszliśmy przez Oddział w towarzystwie księdza dziekana - Mariana Bruckiego, dyrektora oraz pielęgniarek. Był to bardzo wzruszający moment, kiedy biskup pochylał się nad najciężej chorymi. Przy okazji było widać, że chorzy dobrze się czują w naszym Oddziale i



uśmiechają się do nas. Jedna z chorych żaliła się: "A do mnie to nikt nie przyszedł". Pocieszyłam ją: "Nie martw się, przecież ja do ciebie przyszedłam. I jutro też cię odwiedzę". Zawsze dotrzymuję słowa. Wiem, że chorzy, naprawdę ciężko chorzy czekają na mnie. Czasem wystarcza już sama moja obecność i fakt, że myślę o nich dodaje chorym otuchy. Staram się nigdy, nawet w najtrudniejszych momentach nie odbierać chorym nadziei. Czasem muszę odbywać tzw. poważne rozmowy z rodzicami najciężej chorych. Zawsze staram się znaleźć jakiś sposób, aby pocieszyć lub znaleźć jakieś dobre wyjście z sytuacji. Naprawdę złości się, gdy medycyna okazuje się bezradna. Wtedy ogarnia mnie smutek i zły nastrój. Przypominam sobie wówczas słowa jednego z chirurgów: "Nie jesteśmy w stanie uratować wszystkich". Ale warto próbować...

Aby jak najlepiej pomagać chorym stale się doszktałam jeżdżąc na różne sympozja i zebrania naukowe. Czasem zdarza mi się spotkać kogoś z mojego roku. Wtedy rozmowom i wspomnieniom nie ma końca. Należę do kilku Towarzystw Naukowych, m.in. Towarzystwa Fitoterapii, Nadciśnienia Tętniczego, Internistów Polskich, Epidemiologów i Lekarzy Chorób zakaźnych. Miałam też swoje wystąpienie podczas Zjazdu Krajowego Zakaźników podzieliłam się swoim doświadczeniem w leczeniu ciężkich infekcji MRSA (gronkowcem koagulazododatnim metycylinoopornym). W nagrodę byłam zaproszona na wspaniały bankiet, na który zapomniałam wziąć zaproszenia. Przy wejściu koleżanka z Olsztyna i z Krakowa poręczyły za mnie: "Pani doktor miała wykład". Kelner na to: "A, to bardzo przepraszam, prosimy". I bez zająknięcia zajęłam miejsce przy stoliku z widokiem na stół prezydialny, przy którym zasiadali sami profesorowie. Po bankiecie odwoziłam wraz z Paulinką jedną z przyjezdnych koleżanek. Niestety pomyliły jej się kierunki i podała nam złą dzielnicę Poznania. Błądziłyśmy w deszczu i w końcu jakiś chłopak popilotował nas na miejsce. W domu byliśmy po północy.

Wkrótce "Wielkanoc". Znow w domu pachnieć będzie przyprawami i świeżo pieczonym ciastem drożdżowym. Będą chałki, serniki, baby, baranki maślane i oczywiście pisanki. Tradycyjnie malujemy jajka w łupinkach cebuli na żółto, czerwono i brązowo. Czasami, gdy mam więcej wolnego czasu wyskrobuję nożykiem drobne

wzorki. Pamiętam, jak uczyła mnie tego babcia Iza. Natomiast z mamą cięłyśmy kolorowe sianko do koszyzków, w których w Wielki Czwartek znajdowałyśmy niespodzianki. Były to marcepanowe figurki - kurki, świnki, jajeczka. Innym razem mama wcześniej podkładała nasze koszyki w parku pod krzewami, a potem razem z nami szukała niespodzianek od zajączka. W Wielki Piątek dostawałyśmy cienkimi baziami "za Boże rany". Najwięcej obrywał Tato. Natomiast miał okazję sobie odbić w "lany poniedziałek", kiedy dostawałyśmy obfity "śmigus-dyngus" oczywiście wodą kolońską. Każde święta są doskonałą okazją do rodzinnych spotkań i refleksji. Jak szybko mija życie... Czy spotkamy się w tym gronie za rok? Bo to właśnie rodzina jest najważniejsza. Razem czujemy się bezpiecznie wiedząc, że możemy na siebie liczyć. Mam nadzieję, że i ludzie wokół też będą dla siebie życzliwsi nie tylko od święta. Bo tak naprawdę człowiek jest tyle wart, ile sam potrafi ofiarować innym...

KONIEC

Grażyna PERLIŃSKA-SIUDA

Foto: archiwum

Foto:

1. Spotkanie z biskupem M. Jędraszewskim w szpitalu
2. Spotkanie z prof. J. Woj-Wojciechowskim



WIELKANOC

WODA, OGIEŃ, JAJKO

co roku przypominają nam o świętach Wielkiejnocy

MUZEUM ŚREMSKIE

również o nich nie zapomniano i przygotowało dla dzieci "młodszych" klas szkół podstawowych wykład o tradycji zawiązanej z tymi świętami. Dodatkową niespodzianką dla naszej młodszej młodzieży będzie nauka zdobienia jajek tradycyjną metodą woskową nazywaną również techniką batiku. Pisanki woskowe można spotkać na całym szerokim pasie ziem wschodnich, a także w Polsce centralnej. Technika ta polega na przenoszeniu wosku w formie wzoru (za pomocą specjalnie do tego celu przygotowanego przez nas lejka) na odtłuszczonej powierzchni jajka oraz barwienie go. Kolejnym etapem jest delikatne usunięcie wosku, przez co powstaje ciekawy wzór.

W wykładzie oraz zajęciach będzie można brać udział od 08.03.2004 do 08.04.2004 od poniedziałku do piątku w godzinach 800-1500.

Koszt: 2 zł

Prosimy o wcześniejszą rezerwację terminów: tel. 283-59-38



Foto: Katarzyna Hertmanowska

WSPOMNIENIA WYSIEDLONEJ ŚREMIANKI cz. I



Barbara Świątek z d. Knoska

Postanowiłam sprawdzić swoją pamięć z okresu II wojny światowej, to jest z lat 1939-1945. Miałam wydarzenia z tych lat spisane w czterech studium kartkowych zeszytach i po wojnie przywiozłam je do Śremu. Własne mieszkanie otrzymałyśmy dopiero po trzech miesiącach i do tego czasu przysparzał nas do siebie mój dziadek, Dworczyński. Czasami czytałam rodzinie niektóre fragmenty przeżyć, ale moje ciotki Hela i Wanda chciały wiedzieć wszystko, nawet to, co pomijałam. Dorwały się więc bez mojej wiedzy do tych pamiętników. Gdy zorientowałam się, co mi kochane ciotki zrobiły, rozplakałam się i w ich obecności wrzuciłam je do rozpalonego pieca w kuchni. Widok płonących zeszytów sprawił, że z rozpaczą patrzyłam, jak pali się prawie pięć lat mojego życia. Zapisów nie dokonywałam codziennie, ale chronologicznie datami, a czasami na gorąco gdy np. pociski świsnęły nad głowami.

Dziś wiem, że powinnam ciotki zrugać, ale zeszyty zostawić.

Mamy rok 2003. Co moja pamięć zachowała? Próbuje opisać to, co jeszcze pamiętam i zacznę tak, jak zaczęłam zapiski w Grądach, to jest od dnia 13 grudnia 1939 roku. Miałam wówczas 13 lat.

W dniu tym o godzinie 600 rano obudziło nas walenie kolbą karabinu w drzwi i zmuszeni zostaliśmy do opuszczenia mieszkania w ciągu pół godziny, ponieważ jesteśmy wysiedleni i zostaniemy wywiezieni do Polski. Pozwolono nam zabrać tylko tyle bagażu, ile uniesiemy w rękach i żywność na trzy dni. Żegnaliśmy się z krewnymi i sąsiadami, jak byśmy mieli się już nigdy nie zobaczyć.

Około godziny 800 wszystkich wysiedlonych zebrano na Rynku, pod karabinami przeprowadzono na dworzec kolejowy w Śremie i załadowano nas na szczęście do wagonów osobowych z przedziałami.

Tak ze Śremu i okolicy 13 grudnia 1939 roku wyjechał pierwszy transport wysiedlonych w podróż w nieznane do Generalnej Guberni.

Jedną z wysiedlonych była kierowniczką Szkoły Powszechnej w Śremie p. Maria Josse. Gdy prowadzono nas na dworzec, p. Josse starała się przechodzić między nami i powtarzała: "nie płakać, nie pokazywać im, że nas to boli". Po wojnie p. Josse wróciła na jakiś czas do Śremu.

To była trudna podróż. W przedziałach było dość ciasno, a najgorszy był niedostatek wody. Wagony były pozamykane i tylko od czasu do czasu pozwolono nam nabrać wody do picia. Bywało, że można było skorzystać z wody przeznaczonej do parowozu, ale tej wody pić się nie dało. Cuchnęła karbolem czy innym świństwem i jej picie nie było mowy. W międzyczasie w pociągu kilka osób zmarło i urodziło się kilkoro dzieci. Lekarz, też wysiedlony, za zgodą Niemców biegał tylko z wagonu do wagonu i próbował udzielać pomocy w miarę swoich możliwości.

Wreszcie 15 grudnia 1939 r. około godziny 1400 nasz pociąg zatrzymał się na stacji Kosów Łącki, wyrzucili nas z wagonów na śnieg (bo tam już była prawdziwa zima) i ogłosili, że kto ma rodzinę w Warszawie może wsiadać z powrotem do wagonu, bo pociąg tam jedzie. Część wysiedlonych pojechała do Warszawy, a reszta stanęła bezradna.

Tymczasem zgłosił się wójt z Olszewa i gospodarze z saniami, którzy swój przydział "bezdolnych" (tak nas nazywali) mieli zabrać do swoich wiosek. Jak się okazało, o przyjeździe wysiedlonych gmina była uprzedzona i poczyniła odpowiednie przygotowania, aby nas gdzieś ulokować.

Sześć rodzin, a mianowicie Durzyńscy Pawłowscy, Dogowie i Knoscy ze Śremu oraz Wawrzyniakowie z Książa Wlkp. i Mąkowscy z Mosiny zdecydowali się pojechać do szlacheckiej wioski - Grądy. Gospodarz, który nas wioził saniami zapewniał, że: "nasa wioska je słachecka". Jednak rzeczywistość różniła się od naszego pojęcia szlachectwa.

Wioska, kilkanaście drewnianych domów krytych słomą, położona 6 km od gminy Olszew, 7 km

od Kosowa Łąckiego, gdzie była nasza parafia i poczta, 3 km od miasteczka Sterdyń i około 15 km od Treblinki. Ludzie robili wrażenie biednych, bo ich codziennych roboczych ubrań nie łatano i nie cerowano. Później bardzo dużo zmieniło się pod względem higieny i porządków w ogóle. Być może była to tzw. szlachta zagrodowa i tak to szlachectwo przechodziło z pokolenia na pokolenie. W okolicy innych szlacheckich wiosek nie było, tylko same chłopskie. Nazwiska naszej szlachty nam się podobały: Złotowski, Grzymała, Poniatowski, Lipski, Kalicki, Godlewski, Wrzosek, Rytel, Wyszomirski i sołtys Gąsowski.

Po przyjeździe ulokowali nas u jednego gospodarza i rozpoczął się "targ", kto do kogo ma iść. Jedni gospodarze woleli wziąć dorosłych, bo pomogą w pracy, inni woleli małe dzieci, bo mało zjedzą. W rezultacie moi rodzice poszli do Wrzosek, brat do Po-



Rodzina Wrzosek i Knoskich na wygnaniu 16.06.1941 r.

niatowskich, a ja znalazłam się u Godlewskich. Po roku wszystkie rodziny otrzymały po jednej izbie i rozpoczęło się życie na własny rachunek, ale już cała rodzina była razem.

Utrzymanie zapewniała nam praca u gospodarzy, za którą otrzymywaliśmy zapłatę głównie w naturze. Ponieważ w pracy na roli nie mogłam dać sobie rady (siła fizyczna żadna), zaczęłam robić na drutach swetry i to było moje główne zajęcie przez cały czas pobytu w Grądach.

A teraz trochę wspomnień o tamtejszych ludziach. Na całą wioskę był 1 (słownie jeden) zegar - budzik u sołtysa. Dla nich zegarem było niebo. Kiedyś w bardzo pochmurną niedzielę stary Wrzosek (u niego mieszkaliśmy) popatrzył na niebo i krzyknął do syna: "Wacław, zaprzęgaj no zaraz do woza, bo do kościoła na dziesiątą nie zdążymy". Na to ja go zapytałam skąd wie, że czas jechać, jak słońca nie ma. Odpowiedział mi, że na niebie i bez słońca widać, która godzina. Przez pięć lat tej umiejętności nie posiadałam.

Od czasu do czasu ktoś kupował gazetę i taka gazeta krążyła po całej wiosce, mimo iż dawno straciła na aktualności. Książek do czytania nie mieli w ogóle.

Z początku z przerażeniem zobaczyliśmy, że są tak biedni, że jedzą suchy chleb i mlekiem go popijają. Powiedzieli nam, że oni chleba nie smarują, bo im to nie smakuje. Zrobione masło sprzedawali w mieście, bo według nich tylko miastowe masło jedzą. Jak się

Barbara Knoska na wygnaniu Grądy 08.06.1941 r.





Barbara Knoska Grądy 08.06.1941 r.

okazało, to taki nie smarowany chleb razowy własnego wypieku z mlekiem prosto od krowy jest tym, o czym marzę od powrotu do Śremu.

Podziwialiśmy ich zęby białe, czyściutkie do starości, chociaż szczoteczkę do zębów zobaczyli pierwszy raz dopiero u nas i pytali się do czego to jest. Pewnie ten razowy chleb tak czyścił im zęby. W razie kłopotów zęby usuwał im kowal w Nowej Wsi, wioski oddalonej od Grądów o 2 km, tam też był najbliższy sklepik. Dentysta osiedlił się w Kosowie chyba dopiero w roku 1941 lub 1942.

Wieczorami kobiety przędły na kołowrotkach len i wełnę, a później tkwały na ręcznych krosnach płótno lniane na koszule i bieliznę pościelową, spódnice i suknie, a z wełny piękne narzuty. Latem utkane płótna rozkładało się na łące, polewało wodą i słońce je pięknie wybieliło.

Czasem w długie zimowe wieczory przychodziła do nas młodzież, aby posłuchać bajek, które opowiadała moja matka, a później opowiadała również treść książek, które przeczytała w Śremie. To były miłe wieczory. W izbie ciepło rozchodziło się od piecyka żelaznego na dwie fajerki, a światło dawała lampa karbidowa.

Odbywały się też wesela przy udziale mieszkańców całej wioski i zaproszonych gości. Do południa mieszkańców i gości przyjmował pan młody, a po ślubie wesele przenosiło się do panny młodej - czyli święto dla całej wsi. Przez kilka lat pobytu w Grądach nie było chyba ani jednego pogrzebu, bo nie przypominam sobie, aby ktokolwiek we wsi zmarł. Natomiast byłam na jednym pogrzebie znajomej młodej dziewczyny z Kuczab (wioska położona o 1,5 km od Grądów).

Nie podobało mi się to, co zobaczyłam. Przy wykopanym grobie otwierało się trumnę i następowało ostatnie pożegnanie z całowaniem zwłok włącznie. Po zamknięciu trumny ksiądz dopełniał obrządku.

Od czasu do czasu odbywały się zabawy u tego gospodarza, który udostępnił młodzieży swoją największą izbę. Wynoszono z niej wszystkie meble i można było się bawić przy kapeli "Koników" z Nowej Wsi. Ta sama kapela przegrywała na weselach.

Na pozór zapomniano się o wojnie, a pojedynczych Niemców - żandarmów można było zobaczyć tylko w Kosowie. Gospodarze rękę okupanta odczuwali w ten sposób, że mieli obowiązek oddawania kontyngentu żywca w określonym terminie. Na swoje potrzeby gospodarz mógł zabić świnie tylko wówczas, gdy wykonał obowiązkową dostawę i miał zezwolenie. Zabicie świnie bez zezwolenia zagrożone było karą 3 miesięcy pobytu w obozie w Treblince.

W międzyczasie zaznajomiłam się z wysiedlonymi mieszkającymi w Sterdyni, na Golankach (tuż przy Sterdyni) i w Stelagach (też blisko Sterdyni) oraz z miejscową młodzieżą. Spotykaliśmy się co niedzielę (jeżeli była odpowiednia pogoda) w Sterdyni w kościele pod chórem na mszy o godz. 1000. Po mszy było trochę spaceru, trochę opowiadań i wspomnień, i rozchodziliśmy się do domów. Często zatrzymywałam się u mojej koleżanki Geni, wysiedlonej wraz z babcią i kuzynami z Kicina k. Poznania, a mieszkającej wówczas w Stelagach. Genia po wojnie i powrocie do Kicina poznała oficera radzieckiego, wyszła za niego za mąż i wyjechała do Charkowa.

Ten pierwszy rok pobytu w Grądach upłynął w spokoju. W mojej pamięci z tego okresu pozostały tylko trzy sprawy.

Pierwsza - to Gwiazdka 1939r. W pierwsze święto rozboleł mnie ząb trzonowy. Był ubytek i matka w tę dziurkę wkładała, co tylko kto poradził. Wreszcie w drugie święto p. Godlewski powiada, że nie ma innej rady tylko wyprząć konia do sanek i zawieźć mnie do kowala w Nowej Wsi, żeby ząb wyrwał i po kłopotcie. Ciekawe, że ze strachu przed dentystą ząb prze-

staje boleć, a mnie mimo strachu przed kowalem bolał nadal. Wreszcie p. Godlewska wpadła na pomysł, w ścierce rozgniotła trzy świeżo uparowane ziemniaki i ten kompres przyłożyła mi do twarzy. Ból ustąpił natychmiast i widmo kowala zniknęło.

Druga sprawa to zima 1939/1940 r. Mróz był taki, że w nocy deski w płotach pękały. W końcu zasypało całą wieś śniegiem, tak że przez 2 tygodnie nie widziałam się z rodzicami, bo w pierwszej kolejności przekopywano się do zabudowań gospodarczych i do inwentarza. Następnie zabrano się do przekopywania drogi przez wieś, aby w razie potrzeby można było udzielić sobie pomocy sąsiedzkiej. Pięknie się szło przez wieś wśród dwumetrowych śnieżnych ścian.

Trzecia sprawa to żniwa. Miałam wówczas 14 lat i nie miałam zielonego pojęcia o pracy fizycznej, a o pracy w polu w ogóle. Tymczasem żyto dojrzało i trzeba było je skosić. Któryś z sąsiadów przyszedł z pomocą sąsiedzką i cała rodzina Godlewskich ruszyła w pole. Ja naturalnie też, bo jeżeli u nich jadłam, to i pracować powinnam. Mężczyźni kosami kosili żyto, kobiety zbierały je i układały w snopki, które młodzież i dzieci powróśliami wiązałam i zestawiali w mende. Przeżyłam koszmar. Słońce dopiekało, nie umiałam chodzić po ściernisku więc nogi do kolan miałam podrapane do krwi i ręce podrapane do łokci od słomy. Z uczuciem olbrzymiej ulgi wróciłam z wszystkimi na obiad. Zaraz zaczęłam kombinować, jak się od tej mordęgi urwać. Wykombinowałam. Godlewscy myśleli, że jestem u rodziców, natomiast rodzice byli spokojni, że jestem u Godlewskich. Spra-



Felek Grzymała Grądy

wa się wydała po paru godzinach. Podniósł się krzyk: zginęła Basia. Szukali mnie po całej wiosce, nad strugą i stawem częściowo zarośniętym olszyną, przez który przepływała struga. W końcu ktoś wpadł na pomysł, że jeszcze nie szukali mnie w stodole. Naturalnie znaleźli mnie spokojnie śpiącą w sianku na świeżym sianie, nie świadomą, że słońce zachodzi i że ktoś się o mnie martwi. Obudzili mnie, skrzyczeli, ale w pole więcej nie poszłam.

Wspominałam o stawku i strudze. Otóż ta woda spełniała ważną rolę we wsi. Była to pralnia. Latem i zimą (w przereblu) prano tam bieleznę i odzież bez mydła i proszku tylko ubijając kijankami. Przed tym pranie było moczone w balii z bielem.

Woda w strudze i w stawku do kąpieli się nie nadawała - za płytko i dno miękkie, szlamiste.

Barbara ŚWIĄTEK
z d. Knoska



„Koniki” kapela z Nowej Wsi

64. rocznica wysiedlenia do Generalnego Gubernatorstwa

11 marca 1940 roku wysiedlono część ludności ze Śre-
mu i okolic oraz z powiatu średzkiego do G.G. W pierw-
szym etapie przewieziono nas do obozu przejściowego w
Poznaniu przy ulicy Główniej. Znajdowały się tam baraki
wojskowe na amunicję, i w nich nas ulokowano. Przez ba-
raki przechodził głęboki tunel z szynami, które służyły do
wjazdu wagonów z amunicją. Po obu bokach tunelu znaj-
dowały się betonowe posadzki, a na nich rozścielona sło-
ma. Całą powierzchnię podzielono wieszakami na boksy.
W każdym takim boksie było legowisko na cztery rodziny.
Na brzegu tego tunelu stały stoły i przed nimi ławy. Tam
siadaliśmy do posiłków: rano chleb z marmoladą i czarna
kawa zbożowa, a na obiad zupa krupnik lub grochówka.

Myśmy jechali z rolnikami z powiatu średzkiego, więc
każdy był zaopatrzony w żywność. Gorzej mieli wysiedleń-
cy z miasta. W naszym boksie, oprócz nas, byli Firlejowie z
Trzebisławek, Pospieszalscy z Kopaczewa oraz dr Korwin-
Szymanowski z rodziną z majątku koło Kostrzyna Wlkp.

Nasza pierwsza noc z poniedziałku na wtorek wryła mi
się głęboko w pamięć. Mimo tylu wrażeń położyliśmy się na

słomie przykryci płaszcami i zaraz zasnęliśmy. Obudziło
nas o 400 nad ranem głośnie wołanie jednego z ziemian:

- "Panie sąsiedzie do doju".

A więc duch w ludziach nie upadł. Potem jedząc ten
krupnik na obiad przysiadł się do mnie, 13-letniego pod-
lotka, jakiś pan w średnim wieku i zaczął opowiadać, że
jest właścicielem firmy Centralina, gdzie produkuje się
dodatek do pasz do tuczu świń. Ja słuchałam jego wywo-
dów z uwagą, jako dobrze wychowana panienka i nie mo-
głam później uniknąć jego codziennych rozmów w stylu:

- "Bonia, pamiętaj jak będziesz miała świnie do tuczu,
to nie zapomnij o Centralinie Michałowskiego". Uważałam,
że to wspaniale - jeden przypomina, że trzeba wstać do
doju, a drugi chce sobie zapewnić zbyt dla swoich wyro-
bów. Świadczyło to o odporności psychicznej i przekona-
niu, że tego wysiedlenia nie traktują jako czegoś ostatecz-
nego. To jest chwilowe, zwyciężymy i powrócimy do ro-
dzinnych stron.

Byliśmy w tym obozie do 15 marca 1940 r. Wtedy o 9
rano wpakowano nas do osobowego pociągu (o cudzie!) i



aż do Niedzieli Palmowej, tj. 16 marca jechaliśmy do Tarnobrzegu. Na drogę dano nam chleb i marmoladę bez żadnego picia, i to było okropne. Raz tylko w ciągu trzech dni podróży dostaliśmy w Częstochowie po talerzu zupy od PCK. Przez te dwa i pół dnia jazdy starsi siedzieli, a młodzież stała. Pierwszy dzień było w wagonach ciepło, a potem wyłączyli grzanie.

Tak zajęchaliśmy do stacji kolejowej Tarnobrzeg, oddalonej około 2,5 km od miasta. Czekały tam na nasze rzeczy podwozy, a my pieszo szliśmy za nimi aż pod szkołę powszechną. Tutaj w klasach czekała na nas rozłożona na podłodze słoma, co widać na zdjęciu.

Jak sobie ułożyli życie ci biedacy? Niestety minęło tyle lat, że mało co pamiętam. Myśmy wkrótce pojechali do Radomia, gdzie już czekał na nas ojciec zatrudniony jako tłumacz w niemieckim urzędzie. Biuro to zajmowało się majątkami, które Niemcy z różnych powodów zabrali ich właścicielom. Administratorami tych majątków zostali wysiedleni z Wielkopolski rolnicy, którzy znali język niemiecki. Ojciec wtedy postarał się o posady wielu znajomym.

Z relacji Basi Bogackiej wiem, że w grupie śremskiej byli Michalscy z Podrzekty, Ustrzyccy, Służewscy, Matuszewscy (właściciel kina), Bogacy oraz jeden z Graeflingów i pan Wiesiu Kornobis z żoną z Gogolewa. Ten ostatni dysponował dużą gotówką, tak że zaraz przeniósł się do hotelu, ku oburzeniu reszty towarzystwa. Wszyscy jakoś się urządzili. Pani doktorowa Bogacka oficjalnie udzielała lekcji niemieckiego dla urzędników w biurach, a faktycznie uczyła angielskiego, którym świetnie władała. Jej córki Maryla i Barbara zatrudnione były w przychodni przeciwgruźliczej i w ambulatorium, brat Tadeusz w aptece, aptece (potem w fabryce wódek w Dzikowie koło Tarnobrzegu). Opiekował się całą tą rodziną dr Edmund Łukomski z Poznania, który był też w tym transporcie, a potem był kierownikiem w pracy tych panien Bogackich. Sam dr Bogacki był w czasie wojny w Niemczech dyrektorem kolejnych szpitali dla jeńców rosyjskich, potem w IG Farbenindustrie, a na końcu znalazł się w Armii Andersa w szpitalu na południu Włoch. Wrócił stamtąd do Śremu dopiero w 1946 roku. Z reguły wszyscy, kto żyw wrócili w ojczyście strony, ale już do zupełnie innych warunków.

Bogna MIERZEJEWSKA-URAM

Foto: archiwum



Pocztówka z okresu okupacji



Tarnobrzeg nad Wisłą, rodzina Matuszewskich, marzec 1940 r.



Wysiedlona ze Śremu grupa przed kościołem w Tarnobrzegu, marzec 1940 r.

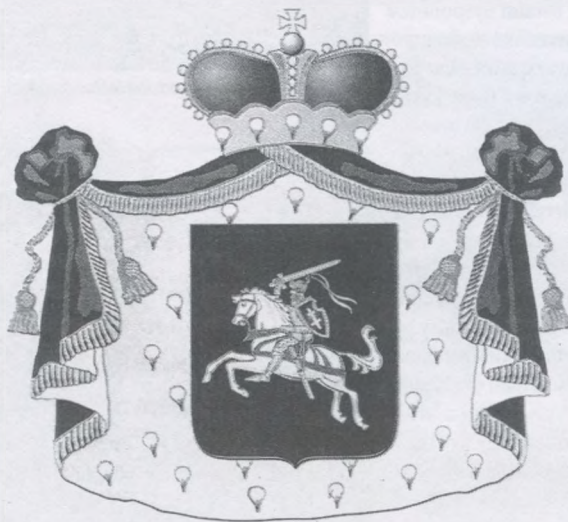
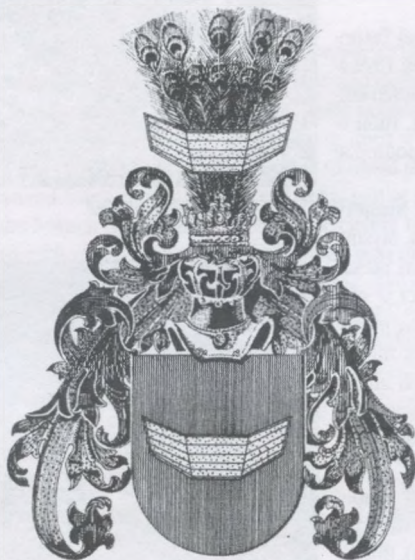
OSTATNI STAROPOLSKI ŚLUB

1 września 1908 roku pobrali się członkowie dwóch znakomitych rodzin arystokratycznych, a była to księżniczka Elżbieta Czartoryska, a starającym się o rękę księżniczki był dr Jan hr. Szoldrski właściciel Golebina, prezes Towarzystwa Popierania Nauki Rolnictwa i Leśnictwa w Poznaniu.

W Wielkopolsce długo pamiętano ślub z tak rzadko w pierwszych latach XX wieku spotykanym przepychem, z wielu relikta-
mi staropolskiej fantazji i dawnego obyczaju. Był to ślub jedynej córki księcia Zdzisława Czartoryskiego, należącego do młodszej linii tego znakomitego książęcego rodu i Marii z Zaleskich, rodem z Ostapkowic, leżących pod Kamieńcem Podolskim. Panna młoda nigdy nie była tak piękna, nawet za młodu, lecz jej największą ozdobę stanowił wdzięk. Trudno było jej nie lubić, skoro zamiast urody, która zawsze przemija, miała inne, bardziej liczące się cechy i zalety. Była dobra, miła i pełna uroku, także ogromnie życzliwa ludziom. To promieniowało z niej do końca życia. Ślub pary młodej odbył się 1 września 1908 roku w kościele w Jutrosinie, leżącym na terenie dóbr księcia Zdzisława Czartoryskiego. Uczestniczyło w nim sto trzydzieści osób przybyłych z Wielkopolski i najdalszych kręgów podzielonego wówczas na trzy zabory kraju. Przed długim sznurem karet, land i powozów jako asysta posuwała się siedząca na dzia-
rskich koniach grupa jezdnych. Była to banderia włościańska w czerwonych kierezjach i krakowskich rogatywkach.

Wielką weselną karete, najpradniejszy ekwipaż z siele-
kiej wozowni, ciągnęła szóstka mlecznobiałych ogierów
krwi arabskiej. Ślubu udzielał bi-
skup Edward Lipkowski, admini-
strator archidiecezji. Po ślubie odby-
ło się wytworne śniadanie w olbrzy-
mym namiocie ustawionym w par-
ku, gdzie stoły ustawiono w podko-
wę. Był on tak wielki, że pod jego
dachem zmieścił się, poza salą jadal-
ną, także olbrzymi salon. W połowie
namiotu wznosił się ogromny balda-
chim. Liczne toasty okolicznościowe
zainicjował książę Zdzisław Czarto-
ryski pożegnaniem jedynej córki
opuszczającej mury rodzinnej sie-
diziby. Następnie głos zabrał ojciec
pana młodego, hrabia Jan Szoldrski,
sławiąc znakomitość rodu Czartory-
skich, podkreślając jego pochodze-
nie od wielkiego księcia Litwy, Gie-
dymina. Kończąc mowę, wniósł to-
ast na cześć pary młodej. Przemow-
om i toastom nie było
końca. Wszyscy wstali,
gdy wśród licznych de-
pesz odczytano list z
błogosławieństwem
Ojca Świętego. Wróćmy
jednak do obrzędu ślub-
nego. Panna młoda je-
chała do ślubu w kare-
cie w towarzystwie mat-
ki. Stangret na koźle był
w polskim stroju naro-
dowym. W strojach z
dawno minionej epoki
byli także dwaj hajducy
stojący na ławeczce z
tyłu karety. Panna młoda
miała suknię z jedwa-
biu "liberty" i długi bia-
ły welon z prastarej
brukselskiej koronki,

pochodzący ze stroju ślubnego Celestyny Gryzeldy z Za-
moyskich Działyńskiej. Druhnami panny młodej były: Ma-
ria Czartoryska, córka księcia Witolda, właściciela Pelkiń



w Małopolsce oraz hrabianka Zyberk-Platerówna z Moszkowa. Drużbami pana młodego byli: książę Olgierd Czartoryski, brat panny młodej i hrabia Wiktor Szoldrski. Obydwaj w srebrnych żupanach i granatowych bogato szamerowanych kontuszach z karabelami u boku. Wieczorem fasada pałacu oraz park zostały bogato iluminowane, a ciemną noc rozjaśniły liczne sztuczne ognie. W tak niezwyklej scenerii, przy dźwiękach poloneza Ogińskiego, alejami parku popro-

wadził pierwszą parę z panną młodą książę Adam Czartoryski, ordynat na Sieniawie, głowa rodu Czartoryskich, syn księcia Władysława i Małgorzaty de Bourbon d'Orleans Królewskiej Wysokości, wnuczki Ludwika Filipa. Bal trwał do białego rana. W 1912 roku hrabia Szoldrski wraz z małżonką nabyli majątek Psarskie koło Śremu.

Elżbieta JANKOWSKA

Foto: archiwum



rys. R. Zawadzki

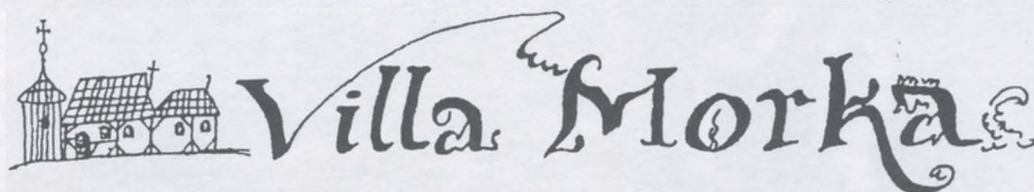
Kościół drewniany ziemi śremskiej

Mórka

Jak przypuszcza ks. prof. Józef Nowacki, kościół w Mórce mógł powstać jeszcze w XIII wieku. Tereny na południe od Śremsu były zasiedlone bardzo wcześnie. Potwierdzeniem tych przypuszczeń są zachowane w sąsiedztwie kościoła ślady starego grodu. Na niewielkim półwyspie jeziora Mórka Mała znajduje się grodzisko późnośredniowieczne, z pewnością siedziba rodu Ostojów. Pierwsza pewna wiadomość o kościele pochodzi dopiero z dokumentu lubińskiego z 1371 roku. Dokument ten wśród kilku osób wymienia Mikołaja, plebana z Mórki 20-30 pełniącego funkcję dziekana śremskiego. Jest to pierwsza wzmianka o dekanatach diecezji poznańskiej, ważnej jednostce nadzo-

dowa z XIII lub XIV wieku, czy wzniesiono nową świątynię?

Dużo więcej informacji dostarcza dopiero wizytacja audytora i kanclerza Kaspra Happa 1610 roku. Wspomina on o poświęconym kościele p.w. Wszystkich Świętych. Niejako przy okazji wykonał odręczny rysunek kościoła, co przy kartach wizytacyjnych jest sytuacją wręcz wyjątkową. Być może zainteresowaniem wizytatora była rzadka w Wielkopolsce w owych czasach konstrukcja słupowo-ramowa kościoła. Dzięki temu możemy zobaczyć jak prezentowała się sylwetka świątyni. Skoro w 1610 roku kościół był poświęcony, zbudowano go nieco wcześniej. Patrząc na



ru organizacyjnego Kościoła. Tak więc już w końcu XIV wieku miejscowy kościół odgrywał ważną rolę, skoro jego pleban pełnił zaszczytną funkcję dziekana.

O wyglądzie kościoła nie ma żadnej wiadomości. Z pewnością była to budowla drewniana ze słabo obrobionych bali sosnowych z okolicznych lasów. Jak większość świątyń z tego okresu posiadał konstrukcją zrębową. Parafia była dosyć rozległa, więc nie był zbyt mały. W jej skład oprócz Mórki wchodziło kilka sąsiednich wsi: Bodzyniewo, Gawrony, Mączlin, Melpin i Dębicz. A na uposażenie plebana składał się: łan roli, meszne lub stołowe od włościan, dziesięciny folwarczne z Mórki, Bodzyniewa i Gawron, dziesięciny kmieci z Gawron i Marszowa. Kto i kiedy erygował kościół pod wezwaniem Wszystkich Świętych nie wiadomo. O istnieniu parafii wspominają później akta biskupie z 1457 roku. Znałe są imiona niektórych plebanów: Marcin (1375-87), Ziemięta (1405), Piotr (1406), Jan (1410), Wawrzyniec (1473-89). Z Mórki pochodził Łukasz - bakałarz sztuk wyzwolonych, w latach 1556-59 rektor szkoły katedralnej w Poznaniu. Może to świadczyć, że już wcześniej przy parafii istniała szkoła. Brak natomiast jakiegokolwiek notatki o kościele. Czy była to jeszcze pierwotna bu-

rysunek trzeba przyznać, że kościół niewiele się różni od dzisiejszego. Ta sama konstrukcja, prezbiterium niższe od nawy, tylko wieża nieco inna i nie tak wysoka. Najlepszy znawca kościelnej architektury drewnianej Wielkopolski, Mateusz Pawlacyk prowadzący badania inwentaryzacyjne w Mórce przed 30 laty, uznał kościół za budowlę powstałą w końcu XVI wieku.

Kolejna wizytacja z 1667 roku archidiakona śremskiego Jana Wolskiego podaje: Wieś Mórka...w niej kościół parochialny pod tytułem WWSS, w mniejszej nawie drewniany, w większej także wprawdzie drewniany, ale glina wylepiony i wapnem powiedziony, dotąd niepoświęcony. Zawiera w sobie trzy ołtarze. Skoro kościół był niepoświęcony musiał ulec znacznemu zniszczeniu. Odbudowa wykonana staraniem Katarzyny Cieleckiej, dziedziczki Mórki, przywróciła mu pierwotny wygląd. Poświęcenia dokonał Jan Kazimierz Opaliński, koadjutor poznański, dnia 10 listopada 1680 roku. Ale i ten kościół nie przetrwał zbyt długo. Konstrukcja słupowo-ramowa nazywana także szkieletową lub szachulcową, gdzie ramy szkieletu wypełnia się plecionką z chrustu zarzuconego gliną lub gliną przemieszaną z ciętą słomą, nie należy do zbyt trwałych. Już w 1737

roku archidiakon śremski Franciszek Woliński pisze, że kościół jest niepoświęcony. Do znacznego remontu przyczynił się Andrzej Czacki, właściciel wsi. Dachy kościoła pokryte był wówczas szkodłami, czyli dębowym gontem, a około 1725 roku powstała nowa wieża. Może przy okazji kolejnego poświęcenia uległo zmianie jego wezwanie. Dotychczasowe Wszystkich Świętych zastąpiono Wniebowzięciem Najświętszej Panny Marii. A może związane jest to z nowym obrazem, który znalazł się w ołtarzu głównym. Pochodzenie towarzyszącego mu obrazu Matki Boskiej z Dzieciątkiem tłumaczy miejscowa legenda. Wedle podania w miejscu gdzie jest staw Wsisko stała wieś z Kościołem, w którym znajdował się obraz Matki Boskiej, będący dziś w Mórce. Po pożarze, któremu uległa wieś z kościołem, z którego tylko 473-89/. Obraz Matki Boskiej uratować zdołano, zaszła sprzeczka pomiędzy mieszkańcami Bodzyniewa i Mórki, dokąd obraz ten ma być wzięty. Sprzeczkę rozstrzygnął proboszcz, iż kto wpierv z mieszkańców Bodzyniewa czy Mórki w pierwsze święto wielkanocne po zjedzeniu święconego będzie na miejscu, gdzie stał kościół, ten będzie mógł zabrać obraz. Oskar Kolberg w swym dziele "Lud" dodaje do legendy, że spalona 10 wieś nazywała się Pogródka. Niestety materiały archiwalne nie wspominają o niej.

Kościół mimo licznych przekształceń i remontów zachował się niemal w postaci z końca XVI wieku. I zaliczany jest do najstarszych świątyń drewnianych w Wielkopolsce. Konstrukcja szkieletowa jest niestety niewidoczna. Na zewnątrz osłania ją szalunek z desek, a wewnątrz ściany pokryto tynkiem. Zgodnie z tradycją ołtarz główny skierowany jest na wschód, czyli jak to się często określa kościół jest orientowany. Składa się z trzech części: niższego i węższego prezbiterium, większej i wyższej nawy oraz wieży. Wieża konstrukcji słupowej, podwyższona w 1874 roku zwieńczona jest ośmioboczną latarnią z blaszanym hełmem. Dwuspadowe dachy pokryto przed 1939 rokiem eternitem w miejsce gontów. Wewnątrz, małe prezbiterium od nawy oddziela

koszowy luk tęczyowy wsparty na dwóch drewnianych kolumnach tokańskich. Na suficie znajduje się dekoracja malarska, w prezbiterium przedstawieni są w medalionach 4 ewangelści, w nawie 8 świętych polskich. Wyposażenie wnętrza pochodzi głównie z okresu baroku. We wczesnobarokowym ołtarzu głównym z 3 ćwierci XVIII wieku znajduje się nieco starszy obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, znany z legendy. Niestety jest on niemal całkowicie przysłonięty srebrną sukienką z około 1720-30 roku oraz tabliczkami wotywnymi. Na obraz ten spuszczana jest zasława z Wniebowzięciem NPM, kopią znanego obrazu malarza włoskiego Murilla. Dwa boczne neorenesansowe ołtarze z początku XIX wieku mieszczą obrazy: Wszystkich Świętych i św. Anny nauczającej Marię, z tego samego okresu. Ciekawa jest barokowa chrzcielnica w kształcie kielicha z pokrywą z karmiącym pisklętą pelikanem. Na uwagę zasługują także żelazne kute drzwi z początku XVII wieku prowadzące do zakrystii oraz zamek także z kutego żelaza z XVI wieku z kruchty do nawy, używany do dzisiaj.

Do kościoła prowadzi charakterystyczna murowana, neogotycka brama-dzwonnica z dwoma dzwonami z 1612 roku, fundacji Jana Pyanowskiego. Parafia, której długoletnim proboszczem jest ks. Bogdan Hancyk ma swoje święto w dniu patrona, w święto Wniebowzięcia NPM, 15 sierpnia.

Zbigniew SZMIDT

Foto: autor



Szymon Majewski

ZMIENNOŚĆ PEJZAŻU

Urodziłem się w 1977 roku w Śremie. W wieku 19 lat rozpocząłem swoją edukację artystyczną w Akademii Sztuk Wizualnych w Poznaniu. W szkole tej miałem możliwość zapoznania się z wieloma dziedzinami sztuki, takimi jak: film, wideofilmowanie, historia filmu (z prof. Markiem Hendrydowskim), technologia fotografii, grafika, malarstwo oraz rysunek. W roku 1998 zmieniłem uczelnię wybierając studia na wydziale pedagogiczno-artystycznym UAM w Kaliszu na kierunku edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych. Dyplom w pracowni rysunku prof. Wiesława Smużnego obroniłem w roku 2003. W trakcie studiów zajmowałem się nieprzerwanie fotografią, którą interesowałem się już w liceum.

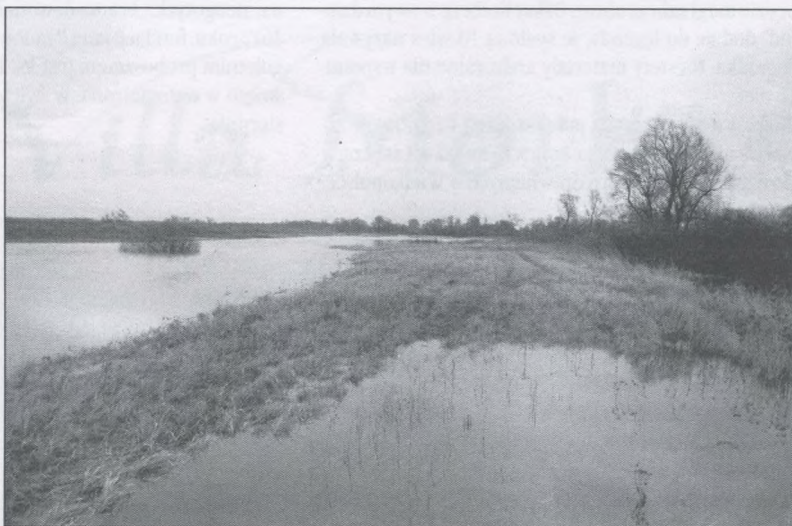
Fotografia to dziedzina sztuki, którą dotychczas jako jedyną zaprezentowałem na wystawach i konkursach w kraju i zagranicą. Na obecnej wystawie po raz pierwszy prezentuję rysunki.

Wystawy indywidualne:

- wystawa fotografii - Epik, Kalisz 2001

Wystawy zbiorowe:

- udział w wystawach Galerii Bezdomnej
- Łódź 2003
- Melbern 2004



MUZEUM ŚREMSKIE

zaprasza

wystawa czynna 4.03.2004 - 18.03.2004

Teatr w Śremie



W dniu 19 stycznia 2004 roku w Klubie "Relax" z inicjatywy Śremskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Teatru odbyło się spotkanie z cyklu "Ludzie teatru". Tym razem gościliśmy przemiłą aktorkę Teatru Muzycznego z Poznania - Joannę Waluszkę. Pełna temperamentu i ekspresji młoda aktorka przybliżyła nam swoją drogę od lat dziecięcych do chwili, gdy stanęła na deskach teatru w Poznaniu. Nam, uczestnikom tego wieczoru, to spotkanie było szczególnie bliskie, ponieważ nie tak dawno (listopad 2003 r.) mieliśmy możliwość posłuchania solowych partii tejże aktorki w musicalu "My Fair Lady", w którym Joanna Waluszkę grała główną rolę kobiecą - Elizę.

Spotkanie upłynęło w bardzo miłej atmosferze i uświadomiło nam słuchaczom, że zawód ten wymaga w szczególności wielkiej pasji i miłości do sztuki, ale też intensywnej pracy w doskonaleniu tej profesji.

Niespodzianką wieczoru było przyjście kolegi Joanny Waluszkę - Śremianina Sławomira Krammera, który po latach spotkał swoją koleżankę ze studiów, a nam uczestnikom wieczoru zaśpiewał pięknym tenorem a cappella arię operową.

W dniu 6 lutego br., również w Klubie Relax, gościliśmy na deskach Klubu wielką osobowość teatru i filmu polskiego - Jana Machulskiego.

"Niebezpieczne zabawy" to sztuka wyżej wymienionego popularnego aktora i reżysera tejże sztuki w obsadzie: Jan Machulski, Agnieszka Zduńczyk i Marcin Rój. Spektakl porusza problemy trójki osób. Znany aktor filmowy podróżując nocą samochodem zmuszony jest zatrzymać się z powodu awarii samochodu. Jedyny dom widoczny w okolicy okazuje się dla niego bardzo ciekawym schronieniem. Przyjmuje go młoda, zamężna kobieta. Mąż - biznesmen, człowiek sporo od niej starszy, jest nieobecny. Niespodziewany, ale bardzo atrakcyjny gość wprowadza swoją obecnością spore zamieszanie. Jak zachowują się oboje? Jak zareaguje mąż zastając w

domu nieznajomego? Co będzie dalej? Niewinny żart wywołuje lawinę wydarzeń i emocji, których nikt nie przewidywał. Jak doszło do zaistniałej sytuacji? Co się właściwie stało i kto zawinił? - czy mąż, który wystawił wierność swojej żony na próbę? Na to pytanie ma możliwość odpowiedzieć publiczność w dyskusji z postaciami sztuki, w którą to dyskusję wprowadził ją Jan Machulski. Na życzenie widzów aktorzy grają wymyślone przez nią nowe zakończenia. Sztuka utrzymana w konwencji melodramatycznej dostarczyła nam wszystkim bardzo miłych wrażeń.

Regina Anna MILICKA

Foto: Edward KNASIAK





KARNAWAŁ 2004



